

Wędrowcy



JOANNA PAPUZIŃSKA

Wędrowcy

ROZDZIAŁ I

Ten większy pokój, przegrodzony szafą, sprzątało się zawsze na ostatku, a i on był już prawie skończony. Przedświąteczne perfumy myszkowały po całym domu i wciskały się do wszystkich dziurek od nosa, jakie napotkały na swej drodze.

„Nikt nie zna receptury, czyli przepisu na ten zapach! — rozmyślała Agnieszka. — Świerkowe igły, kapusta z grzybami, pasta do podłogi, a reszta? W każdym domu pachnie to inaczej i co roku tak samo”.

Agnieszka klęczała na prastarej pieluszcze, pamiętającej jeszcze zamierzchłe czasy jej niemowlęstwa, a teraz zdegradowanej do roli podręcznej ścierki. Pastowała ostatnie centymetry kwadratowe podłogi.

Ach, te grudnie, jak głębokie studnie,
Coraz ciemniej,
Coraz chłodniej,
Coraz nudniej.
Ale w dali jakiś blask, jakiś połysk...
Mrok się wyciąga wciąż dłużej i dłużej,
Zima nadjeżdża na brudnej chmurze,
Ale grudzień jest zawsze wesoły!

Zaśpiewała nagle, zupełnie nieoczekiwanie. Piosenka wyskoczyła jej z głowy sama, jakby siedziała tam już od dawna gotowa i czekała, aż się ją wypuści na swobodę.

— Antek! Antek! Słyszałeś? Ułożyłam niechcący wiersz! — zawołała Agnieszka w stronę szafy.

— Mmm — dobiegło zza szafy i znów zaległa cisza.

— Antek! Nie mukaj! Wylaż, bo ja już i tak kończę! Teraz twoja kolej.

— Mmm... zaraz — zamruczał Antek zza swojej szafy, co było widowym znakiem, że pogrążony jest w jakichś sprawach, które trzymają go w szponach i w kajdanach i nie wypuszczą za nic.

— Antek, do licha, przestaniesz ty czytać czy nie?

— Za chwilę... — zamamrotało znowu za szafą.

Ale Agnieszka знаła sposoby sprawdzone po stokroć i niezawodne. Wypróbowane sposoby starszej siostry.

Łomocząc głośno, pociągnęła z przedpokoju froterkę, specjalnie wypożyczoną na świąteczną okazję. Włączyła przewód do gniazdka, pstryknęła parę razy kontaktem, lecz maszyna nie odezwała się, nie drgnęła nawet.

— Oj, nie mogę! Chyba się zepsuła! — krzyknęła trwoźnie.

— Zaraz! — dobiegł zza szafy głos, daleki i wysilony, jakby musiał po drodze przedrzeć się przez siedem gęstych lasów, przeskoczyć siedem przepaści, przemierzyć siedem pustyni.

Agnieszka wzruszyła ramionami i, uśmiechając się chytrze, docisnęła wtyczkę i pogmerala palcem obok przełącznika.

Froterka bzyknęła parę razy leniwie i ucichła.

Za szafą zaś stęknęło, zaszeleściło, zatrzeszczało.

Święto, Zapach

Zadudniły drewniaki. Z drewnianej twierdzy wyskoczył Antek w całej swej ośmioletniej okazałości.

— Oj, ty psujo! Nie ruszaj, jak nie potrafisz! — pouczył siostrę bardzo mądrym i grubym basem. Sprawdził zręcznie i szybko wszystkie połączenia. Włączył froterkę, która zahuczała zrównoważonym i posłusznym głosem. Koliste szczotki poszły w ruch i zaczęły polerować zapastowaną podłogę.

— Nabrałaś mnie znowu! Nic się nie zepsuło! Od razu wiedziałem, że mnie nabierasz — zamruczał z wymówką.

— Bo ciągle czytasz i czytasz, i jesteś nieprzytomny! Mądrała! Nauczył się czytać i myśli, że cały świat jest już nieważny, bo on czyta! Naukowiec!

— Pomyłka, i to gruba jak słoń! Bo ja wcale nie czytałem, tylko sporządzałem bardzo ważną rzecz! Oczywiście, na razie tylko projekt!

— No i na jedno wychodzi! Ciągłe byś myślał i dumał, a robić powinien ktoś inny!

— Stara zrzęda! Zrzędzisz, jakbyś miała sto lat! A ja wiem, dlaczego tak zrzędzisz!

— No, dlaczego?

— Bo nie pochwaliłem twojego głupiego wiersza!

— Głupiego?!

— No, i to jeszcze jak! — krzyknął Antek, zastawiając się przezornie froterką, bo siostra schwyciła z podłogi bardzo zasłużoną pieluszkę i miała zamiar trzepnąć nią brata po bardzo mądrej głowie.

Lecz starsze siostry mają zazwyczaj dłuższe ręce niż młodszy bracia. Bardzo zasłużona pieluszka z łopotem przecięła powietrze o milimetr od Antkowego ucha.

Antek pisnął i zasłonił głowę rękami.

I wtedy stała się rzecz niezwykła, której nikt nie mógł przewidzieć.

Wypuszczona z rąk froterka elektryczna ruszyła w samodzielny taniec po podłodze, zataczając w powietrzu energiczne kręgi długim drążkiem.

— Ratunku!

— Łap to!!

— Wyłącz!!!

— Paprotka!!!

Wszystkie cztery okrzyki zabrzmiały prawie równocześnie, ale ten ostatni, choć najgłośniejszy, nie zdał się już na nic. Paprotka, trącona kijem od froterki, pędziła właśnie na spotkanie z podłogą.

Z cichym chrzęstem rozprysły się po pokoju gliniane szczątki donicy. Posypała się ziemia. Ale sama paprotka wylądowała pośrodku tego pobojuwiska godnie i niewzruszenie. Splątane ciasno korzenie tworzyły w środku jakby drugą doniczkę.

Antek z ofiarnością bramkarza pierwszej ligi rzucił się na froterkę, dopadł do przełącznika i uciszył zwariowaną maszynę.

— Aleśmy narobili! — jęknął żałośnie.

— Cicho, zaraz to zlikwidujemy! Poszukaj jakiejś doniczki!

Rodzeństwo, w najlepszej komitywie i zgodzie, zabrało się do zacierania śladów zbrodni. A nie można było tego czynu nazwać inaczej, jak zbrodnią.

Paprotka, którą przed wieloma, wieloma laty mama dostała w podarku od cici Marychny, była bardzo ważnym członkiem rodziny. Mama jej doglądała, kropiła, wietrzyła, nawozila, nie pozwalała palić przy niej papierosów tacie ani gościom. Paprotka zastępowała mamie ogródek działkowy — ba, całe gospodarstwo rolne. Dla dzieci zaś była niezrównanym towarzyszem zabaw.

Wystarczyło zapalić małą lampkę i ustawić ją w odpowiednim miejscu. Wtedy bujne liście paprotki rzucały ogromne cienie na ściany. Pokój zamieniał się w bezludną wyspę, tropikalną dżunglę, las przedpotopowy — co tylko było potrzebne.

Paprotka była także główną bohaterką wszystkich przeprowadzek wewnątrz mieszkaniowych. Takie przeprowadzki odbywały się dosyć często dla podtrzymania ducha w rodzinie. Gdy czekanie na nowe mieszkanie, które jakoś nie mogło się wybudować, wydawało się już zbyt długie i niezdolne. Gdy w domu wszystko okazywało się niemożliwie ciasne i stare. Wówczas mama rzucała hasło: „Przeprowadzka!”. Przeszawiało się wtedy meble. Ktoś zamieniał się z kimś na miejsce do spania albo na kącik do pracy. Tata

zaś ustawiał nadzwyczaj pomyslowe przegródki, które miały w czarodziejski sposób powiększyć mieszkanie o jeden przynajmniej pokój. Pierwszym punktem programu każdej przeprowadzki było wyznaczenie miejsca dla paprotki.

Nic więc dziwnego, że Antek zmiatał teraz na szufelkę każdą drobinę ziemi tak uważnie, jakby zbierał rozsypane perły.

— Tata ma rację, że ona jednak jest nie do zdarcia, ta paprotka. Patrz, nic jej się nie stało. Ani jeden listek się nie złamał!

Agnieszka już oglądała przyniesioną z balkonu doniczkę.

— Nawet dobrze się składa, mama już dawno mówiła, że trzeba ją przesadzić.

Ostrożnie dźwignęła paprotkę razem z bryłą ziemi.

Coś wysliznęło się jej spomiędzy palców i stuknęło o podłogę.

— Patrz, co było w paprotce! Rodzinny skarb! — krzyknął Antek. — Kluczyk od nie wiadomo czego!

— Oj, teraz mi nie przeszkadzaj! Dosypuj ziemię!

Antek wsunął kluczyk do kieszeni i zajął się osadzaniem paprotki w nowej doniczce.

Udało się to nad podziw dobrze. Wkrótce już paprotka stała na swej półeczce, jak gdyby nigdy nic. Podłoga była wyfroterowana do połysku.

Agnieszka pobiegła do kuchni i zajrzała do kapusty z grzybami, która perkotała z wolna na azbestowej płytce.

— Dobra jest, jeszcze się nie zdążyła przypalić. No, to właściwie wszystko zrobione! Nasi rodziciele mogą już sobie wracać.

Siedli na tapczanie i oglądali mieszkanie krytycznym wzrokiem.

— A jak tam u ciebie za szafą? — spytała Agnieszka.

— Wszystko poukładałem! Tylko jedna kartka leży na wierzchu i dwa pisaki. To właśnie mój spis, który robiłem.

— No i co to za spis?

— Spis najpilniejszych wynalazków do końca dwudziestego wieku. Tych, które trzeba koniecznie zrobić.

— Ciekawe! Pokaż mi to!

Ale w tej samej chwili zasuwa w drzwiach chrząknęła dźwięcznie i zaczęła się powoli otwierać.

— Idą — stwierdził Antek.

Rodzice przeciskali się przez drzwi, pomagając sobie nawzajem, objuczeni torbami, siatkami i mnóstwem pakunków luzem. Z jednej siatki sterczał sztywny i oszroniony ogon karpia, spowity puklem anielskich włosów, które wysliznęły się z jakiejś torebki.

— Niech dunder święnie całe te święta! — pomrukiwał tata, wyciągając swoje chude piszczele spomiędzy paczek.

— W przyszłym roku wykupuję wczasy rodzinne! Dość tych zabobonów!

Tata przedarł się do kuchni, znacząc za sobą ścieżkę z maku, który sączył się z pękniętej torby.

— Gusła i zabobony! — powtórzył raz jeszcze. — A wy tu czego chcecie? — zdziwił się, widząc dwa łebki, które wychynęły spoza kuchennych drzwi.

— Mikołaja! — krzyknął Antek.

— Może coś pomożemy? — zaoferowała się Agnieszka.

— Broń Boże, a kysz! Uciekajcie stąd zaraz! — zatrzepotała się mama, wpadając do kuchni jeszcze w berecie na głowie i zasłaniając własnym ciałem stos leżących na stole paczek.

Tata, zdenerwowany, kichnął głośno, zanurzył rękę w kieszeni, wyciągnął z niej kłęb wąziutkich, kolorowych wstążeczek i już miał wytrzeć w nie nos.

— Stop! Hamulec! Wsteczny bieg! — krzyknęła wówczas cała rodzina.

Tata przyjrzał się wstążeczkom z zainteresowaniem.

— Aha... — powiedział. — Przypominam sobie nawet, skąd je mam... Przecież właśnie postanowiłem zapuścić sobie warkoczyki...

— Cha, cha! Nie bujaj nas! Dobrze wiemy, po co te wstążeczki!

— Hurra, niech żyją prezenty!

— Najlepiej od razu zrobić wręczenie!

— Cicho, dzieci! — powiedziała mama i zrobiła bardzo przebiegłą minę. — Idźcie... — zmarszczyła czoło w głębokim namyśle — idźcie i kupcie migdałów! My już tu wszystko doszykujemy. Jest jeszcze trochę czasu. Dziadkowie i ciocia Marychna przychodzą za cztery godziny. Więc w ogóle... przejdźcie się!

Mama uspokoiła się do reszty, gdy pogmerła drewnianą łyżką w kapuście. Twarz jej się wypogodziła, bo dzieci spisały się dobrze i kapusta nie przywarła do dna garnka.

— No dobra, chodź! — powiedziała Agnieszka, ciągnąc za ramię Antka, który w karłowym sposobie wyginał szyję, żeby uszczknąć coś niecoś z widoków piętrzących się za plecami mamy na kuchennym stole.

— Tylko zmyj jeszcze ten rozkład zajęć — przypomniała mama, rzucając okiem na syna.

— Jaki? Czego? — zdziwił się Antek.

— No, na śniadanie jadłeś jajko, potem podjadłeś mi świątecznych borówek, chociaż myślałam, że udało mi się je dobrze schować, potem pisałeś czerwonym i zielonym mazakiem coś bardzo ważnego, bo tym zielonym drapałeś się po czole. I jeszcze chyba w przelocie oczyściłeś jakiś komin albo może umyłeś zakopcony garnek, bo takie czarniawe smugi widzę...

— Ty to zawsze... — westchnął tylko Antek i poszedł do łazienki.

— Wyrzucają nas! A ja chciałem podglądać! — gderał po chwili niezadowolony, wbijając ręce w rękawy kurtki.

— Chodźże już! Przelecimy się po mieście — popędzała go Agnieszka, już ubrana, pobrzękując w kieszeni dwudziestozłotówkami, które dostała od mamy.

Zamknęli za sobą drzwi i w podskokach zbiegli ze schodów.

— Och, żeby już była wigilia! Nie chcę tak czekać!

— A ja właśnie lubię! — powiedziała Agnieszka. — Takie czekanie jest bardzo miłe.

Minęli przedbłokowy skwer i placyk zabaw z ośnieżonymi z lekka huśtawkami, i karuzelę i wyszli na ulicę. Wmieszali się w tłum przechodniów pędzących przed siebie pośpiesznym, przedwigilijnym krokiem.

— Podobają mi się te nasze nowe latarnie — stwierdziła Agnieszka. — Wyglądają zupełnie jak takie pomarańczowe landrynki. I świecą tak jakoś landrynkowato.

— To są lampy sodowe — pouczył ją Antek z powagą.

— Landrynkowe — uparła się siostra. — Chodź, wświdruj się tutaj, może kupisz te migdały? — Wskazała na pelen ludzi, wielki sam¹ spożywczy, który właśnie mijali.

Antek zanurkował do wnętrza, kuląc ramiona i przeciskając się między ludźmi jak węgorz. Dotarł do kasjerki w okamgnieniu. Agnieszka patrzyła przez szybę, jak kasjerka rzuca na Antka nieprzytomne spojrzenie i przecząco kręci głową. W chwilę potem on sam wysunął się ze sklepu.

— Marzenie ściętej głowy — powiedział. — Czyli figa z makiem, a nie migdały.

— No to idziemy dalej.

Ruszyli, wymijając ludzi, zaglądając w okna ozdobnych wystaw. Wkrótce wyszli na ruchliwą ulicę, oświetloną paciorkami kolorowych żarówek. Wypełnione szczelnie tramwaje sunęły jeden za drugim, podzwaniając raz po raz na pieszych.

Doszli do podziemnego przejścia i postanowili przedostać się na drugą stronę. Zbiegli po schodach na dół.

ROZDZIAŁ II

Pasaż podziemny był dziwnie pusty, wyludniony. Błyszczały tu dziesiątki kolorowych reklam, ale w pozamykanych sklepikach nikt nic nie sprzedawał. Za jakąś szybą tkwiła samotnie obwieszona bombkami choinka, a pod nią istna zaspą kolorowych paczuszek, misternie poprzewiązywanych wstążkami.

— Ciekawe, dla kogo te prezenty — powiedział Antek, obrzucając łakomym wzrokiem wystawę.

— Coś ty, to tylko dekoracje! Puste pudełka — zgasła jego zapał Agnieszka.

Antek z żalem oderwał się od wystawy i przyspieszył kroku. Przypomniały mu się kolorowe wstążeczki z tatowej kieszeni. Było ich tyle! Na dużo, dużo paczek!

¹ sam — tu: sklep samoobsługowy. [przypis edytorski]

Zaczęli wchodzić schodami do góry. Od wyjścia dmuchnął na nich zimny wiatr, zamiatający płatkami śniegu. Ulica stała się mroczna, niebo nabrało brudnofioletowej barwy.

— Śnieg, śnieg! — ucieszyli się oboje. — Tak nagle zaczął padać.

Weszli w ścianę mokrego śniegu, który oblepił im kurtki, włosy i twarze. Z rzadka świeciły latarnie, tworząc w szarobiałym powietrzu różowopomarańczowe plamy, przez które przelatywały prędko-prędko wielkie, białe płatki.

— Będą z tego jakieś sanki czy nie? — medytował w głos Antoś, zrzucając z ramion białe strzępki.

Ale śnieżna chmura odpłynęła równie szybko, jak przyszła.

Znowu zrobiło się jaśniej, śniegowe płatki leżały już tylko na ziemi i szybko zamieniały się w wodę.

— Oj, zobacz, tu są migdały! Wchodzimy? — Agnieszka pociągnęła Antka w stronę małego kiosku, zapchanego mnóstwem spożywczych towarów.

Wsunęli się do małego sklepiku, gdzie, o dziwo, nie było nawet wielkiego tłoku, za to świdrował w nosie dymny zapach suszonych śliwek.

Agnieszka wsunęła do kieszeni dwie torebki migdałów, zapłaciła i wyszli znowu na ulicę.

— Hej, Aga! Gdzie myśmy zaszli? — zagadnął Antek po chwili. — Co to za ulica? Ja tu chyba dawno nie byłem!

Agnieszka rozejrzała się dokoła.

— A ja w ogóle takiego miejsca nie pamiętam! Chyba poszliśmy nie w tę stronę! To się czasem zdarza, jak się wychodzi ze sklepu.

Zawrócili więc i ruszyli szybko przed siebie.

— Chyba musieliśmy się dobrze odbić od domu! Jak się tak idzie i gada, to można zejść nie wiadomo dokąd!

— Najlepiej dojdźmy do tramwaju. Wsiądziemy w dziewiątkę i dojedziemy prosto na osiedle.

— A wiesz, gdzie przystanek?

— Zaraz się zapytamy — Agnieszka dygnęła przed jakimś człowiekiem, niosącym na ramieniu choinkę. — Przepraszam pana, gdzie jest przystanek dziewiątki?

— Za rogiem na prawo — odrzekł mężczyzna i wskazał za siebie wolną ręką.

Puścili się biegiem w stronę przecznicy i rzeczywiście mieli szczęście, bo dobiegli do przystanku w momencie, gdy tramwaj zgrzytając hamulcami zatrzymywał się właśnie na nim.

Wskoczyli do środka, zadowoleni z siebie. Tramwaj był prawie pusty, więc siedli przy samych drzwiach i rozglądali się za swoim przystankiem.

— Jejku! — powiedział Antek niespokojnie. — Wszyscy już poszli do domów robić sobie święta.

— Nie wygłupiaj się! — odparła Agnieszka. — Dopiero czterdzieści minut, jak wyszliśmy z domu. Właśnie patrzyłam na zegarek!

— Popa, jaki tu fajny neon!

— Popatrz, chciałeś chyba powiedzieć. Nie ma takiego słowa „popa”.

— Oj, siostrze, nie przynudzaj! Nie jesteś panią w szkole.

— Czekać, czy to nie nasz przystanek? E, nie, jakiś inny.

Tramwaj jechał szybko, podzwaniając, coraz to przyjmując i wypuszczając nielicznych pasażerów.

Za oknem ciągnęły się rzędy nowych bloków, ulica stawała się teraz szersza. Minęli jakiś park, ogrodzony ozdobnym parkanem.

Potem wielkie pojedyncze gmachy otoczone zielenią. Potem cmentarz, cichy i zasnuty śniegiem. Wreszcie tramwaj zatoczył łuk i zatrzymał się w niewielkim sosnowym lasku.

Motorniczy wyszedł ze swojej kabinki i rozprostował ramiona, aż trzasnęło mu w kościach.

— Koniec trasy! — oznajmił. Wyskoczył z wagonu zniknął w lasku.

Antek i Agnieszka spojrzeli na siebie i wybuchnęli Śmiechem.

— Ale jesteśmy gapy!

— Przejechaliśmy nasz przystanek!
 Tramwaj był już teraz całkiem pusty, siedzieli w nim tylko we dwoje.

— Musimy wracać z powrotem! Masz jeszcze wolne bilety?

— Mam! — klepnęła się po kieszeni Agnieszka. — Teraz już poprosimy tego motorniczego, żeby nam powiedział, gdzie trzeba wysiąść. To już koniec miasta, jakieś przedmieście, prawie wieś. Nigdy tu nie byłam.

— Albo wiesz co, może my pojechaliśmy w przeciwną stronę? — zastanawiał się Antek.

— Tak czy owak, jedziemy z powrotem. Dziewiątka musi nas dowieźć do domu. Tylko że ten motorniczy gdzieś zginął.

— Poszedł na pewno zrobić siusiu, bo kiedyś przecież musi! O, popatrz, już wraca!

Rzeczywiście, motorniczy wyłonił się zza drzewek i podchodził do wagonu, otrzepując buty ze śniegu.

— A pasażerowie tak w te i nazad będą jeździć? — zdziwił się, ujrawszy Agnieszkę i Antka siedzących w środku.

— No! Proszę pana, bo my przejechaliśmy swój przystanek i musimy teraz z powrotem! Ale niech pan nam powie, kiedy trzeba będzie wysiąść przy Polnej!

— Przy Polnej? Da się zrobić — powiedział motorniczy. Zajął swoje miejsce, pomrukał kilka razy światłami i tramwaj ruszył, pojękując i zgrzytając, jak to zwykle tramwaj.

Aga i Antek w milczeniu spoglądali przez szybę na okolicę, gdzie wszystko przesuwano się w odwrotnej kolejności: lasek i cmentarz, wielkie gmachy wśród zieleni, park, bloki nowych osiedli, oświetlone neonami ulice centrum.

— Teraz wysiadacie — wychylił się do nich motorniczy.

— Dziękujemy! Wesołych świąt! — krzyknęli i zeskoczyli oboje na chodnik.

— I wam wesołych! — zamachał motorniczy ręką.

Ruszyli przed siebie, Antek podskakując i gwizdząc, Agnieszka przygarbiona, jak zwykle z rękami wciśniętymi w kieszenie.

Zanim jeszcze doszli do skrzyżowania, z daleka zobaczyli przymocowaną na narożniku domu nową i dużą tabliczkę „*ul. Polna*”.

Wsunęli się między dwa szeregi wysokich domów, ciasno dosuniętych jeden do drugiego. Niechcący jakoś Antek dotknął palcami ręki Agnieszki, a Agnieszka zacisnęła swoje palce na jego palcach. Teraz brat i siostra trzymali się za ręce, chociaż już od dawna, co najmniej od dwóch lat, nie chodzili tak ze sobą. Szli, zadzierając głowy do góry, wykręcając szyje, strzelając oczyma na wszystkie strony.

— Słuchaj, czy mogą być w jednym mieście dwie ulice, które zupełnie tak samo się nazywają? — zapytał wreszcie Antek.

— O ile wiem, to nie... — odparła w zamyśleniu Agnieszka.

— Więc co się mogło stać? Przecież to nie jest nasza Polna! Znam naszą od początku do końca! Ona w żadnym miejscu nie jest taka przedwojenna, jak ta!

— Właśnie! Coś tu jest dziwne, tylko jeszcze nie wiem co...

— Wiesz? Chodźmy zobaczyć dom pod naszym numerem! To musi być już gdzieś niedaleko!

— Dobrze, możemy iść. Tu ulica zresztą jest bardzo ładna, podoba mi się. Szkoda tylko, że trochę zaniedbana. Jakby ją tak odnowić i wymalować, byłaby naprawdę zabytkowa!

— O, tu jest numer trzeci! Zobacz, jaki fajny!

Postali chwilę z zadartymi głowami, spoglądając na natłok kamiennych liści oplatających ściany balkonów, rozdziawione, murowane gęby wyglądające spośród liści. Te gęby aż prosiły się, aby wrzucić do nich po cukierku albo chociaż po kasztanie. Ale tylko chmura, przelatująca tu niedawno, nasypała każdej po trosze śniegu na dolną wargę.

— Zobaczmy jeszcze podwórko — zaproponował Antek.

Przeszli przez bramę wykładaną ozdobnymi kafelkami. Niektóre kafelki odpadły i ktoś zamalował gołe miejsca olejną farbą.

Podwórko było małe i czyste. Pośrodku widniał jakiś mały klombik, starannie przysłonięty gałązkami choiny, z małymi chochołami, które osłaniały widać przed zimnem jakieś ozdobne krzaki. Wysokie, szare mury pięły się w górę, w górę, pozostawiając nad głową zaledwie mały prostokąt nieba.

— No to chyba pójdziemy stąd — powiedziała Agnieszka.

— No — odparł tylko Antek.

Ale zatrzymał ich jeszcze jakiś ruch za jedną z szyb. Drgnęła firanka, uchyliło się małe okienko na pierwszym piętrze i ukazała się w nim okrągła buzia, otoczona chmurką siwych włosów.

— Dzieci! Dzieci! To tutaj, tutaj! Chodźcie na górę!

Agnieszka i Antek aż podskoczyli z wrażenia.

Starsza pani machała na nich ręką i nawoływała dalej.

— Widzę, że się błąkacie i rozglądacie, a przecież to ja na was czekam! No wchodźcie, wchodźcie, to te drzwi, pod moim oknem!

— Chodź! Idziemy! Co nam szkodzi? — pociągnął Antek za rękę siostrę.

Weszli na klatkę schodową i po schodach na pierwsze piętro.

Staruszka czekała już na nich w uchylonych drzwiach, uśmiechnięta radośnie.

— Już myślałam, że nie przyjdziecie, bo w zeszłym roku dzieci zjawiły się dużo wcześniej... No wchodźcie, wchodźcie!

Staruszka otworzyła przed nimi drzwi i z taką niecierpliwą radością zapraszała ich do środka, że musieli przecież wejść.

Spoglądali na siebie niepewnie. Stanowczo tych dziwów było już dziś za dużo! Staruszka z pewnością czekała na kogoś, kto się spóźniał albo całkiem nawalił. Nie mogły to być jej własne, dobrze znajome wnuczeta, bo przecież aż tak nie mogłaby się mylić... A może? Może cierpiała na zanik pamięci? Często się słyszy, że starym ludziom coś takiego dolega... — zgadywała Agnieszka gorączkowo, stojąc w przedpokoju.

— Ale, proszę pan... — zaczęła wyjaśniać.

— Nie, nie, nic nie szkodzi! Ja wiem, że wam jest trudno się wyrwać! Macie tyle różnych zajęć! Młodzież jest przeciążona i dzieci są przeciążone, ja oglądam telewizję i wszystko rozumiem! Na pewno nie mogliście wczoraj przyjść i dlatego dzisiaj! A ja mam tyle czasu, tyle czasu! Mogłabym go sprzedawać w sklepie na kilogramy! Dla mnie to przecież głupstwo poczekać nawet dzień czy dwa! — mówiła pospiesznie staruszka, jakby w popłochu, że gdy tylko na chwilę zamilknie, goście wyjdą i znów zostawią ją samą.

— Proszę, proszę! — wprowadziła ich do maleńkiego pokoiku, gdzie był nakryty stół, pod kilkoma gałązkami choinki zawieszonymi u żyrandola.

— Cztery nakrycia! A to czwarte dla zbłąkanego wędrowca! Ja już wszystko przyszykowałam! I tak się cieszę!... To taki miły zwyczaj to wasze przychodzenie, naprawdę! W tym roku postarałam się lepiej... mam dla was małe prezenciki... ale siadajcie, siadajcie.

— Ale proszę pani! — zaczęła Agnieszka powtórnie, a głos jej zabrzmiał tym razem jakoś niecierpliwie i twardo.

Staruszka przerwała swe przemówienie i spojrzała na Agnieszkę, przechylając głowę, jakby chcąc dobrze zrozumieć to, co zaraz usłyszy.

Lecz Agnieszce zabrakło nagle głosu i śmiałości, aby powiedzieć, że przyszli tutaj tylko przez pomyłkę i że zaraz chcą sobie pójść. Zrobiło się jej strasznie żal tej samotnej babci i jej długiego czekania. I tego rozczarowania, zdumienia i żalu, jaki pojawił się na pomarszczonej twarzy, kiedy się okaże, że oni wcale nie są tymi, którzy mieli tu naprawdę przyjść, a ci, co mieli przyjść naprawdę — zjawią się nie wiadomo kiedy albo i wcale.

„Och, to na pewno jacyś obiecawacze-cacywacze z tutejszej szkoły!” — pomyślała ze złością.

Uśmiechnęła się do starszej pani i powiedziała tylko:

— My bardzo przepraszamy...

— Och, mówiłam już, że nic nie szkodzi. Rozbierajcie się, wchodźcie, siadajcie, a ja pobiegnę na chwilę do kuchni.

Antek widocznie musiał myśleć to samo, co Agnieszka, bo gdy tylko stara pani wyszła, szepnął:

— Słuchaj, posiedźmy tu trochę... bo tej babci będzie strasznie smutno, jeśli sobie tak zaraz pójdziemy. A może ci, co byli tu umówieni, za chwilę przyjdą? To wtedy będzie łatwiej wszystko wytłumaczyć i sobie spokojnie odejdziemy, co?

— Dobra, niech będzie — zgodziła się siostra.

Przestali więc siedzieć jak na szpilkach. Pomyśleli sobie, że to właśnie zdarzyła się okazja, o jakiej wiele razy marzyło wiele osób. Okazja, żeby zagrać rolę... Jak w telewizji czy w kinie.

Babcia wróciła za chwilę z kuchni, trzymając w dłoniach tacę pełną jakichś dobrości. Stała się teraz spokojniejsza i przestała tak prędko mówić.

Usadowiła się wraz z nimi przy stole, uśmiechnęła się beztrzesko i powiedziała:

— Ale! Ja przecież nie znam nawet waszych imion! Co roku ktoś przychodzi i odchodzi... Opowiedzcie mi o sobie! Co u was słychać, co się z wami dzieje...

— My jesteśmy Agnieszka i Antek — odpowiedzieli.

— Ach, więc to wy! Bardzo dobrze — odrzekła babcia. — No, to jedzcie te kanapki i opowiadajcie.

I wtedy poczuli się tak dobrze, jakby naprawdę byli u swojej rodzonej babci. Nie tej prawdziwej, którą mają, jakiejś innej, ale też swojskiej, własnej i bliskiej. Zapomnieli, że mają grać rolę. Zapomnieli nawet, że są nie wiadomo gdzie i wzięli się tu nie wiadomo skąd. I że gdzieś tam, na innej Polnej ulicy, ktoś ubiera dla nich choinkę i zawiązuje kolorowe kokardki na prezentach...

ROZDZIAŁ III

Antek, rozgorączkowany i szczęśliwy, że ktoś go nareszcie uważnie słucha, opowiadał właśnie o swoim spisie najważniejszych wynalazków.

— Sztuczny papier, tak, rozumiem i popieram — odparła babcia z namysłem. — Jak będziemy dalej robić papier z drzew, to musi zabraknąć albo papieru, albo lasu. A jak już zużyjemy lasy, to popsujemy klimat, a jak popsujemy, to... i tak dalej... Więc sztuczny papier rzeczywiście jest ważny. Ale ten samofruw? To ma być ważne i pilne?

— Bezwarunkowo, babciu! Fruwanie jest bardzo ważne! Człowiek się nie uspokoi, dopóki nie zacznie fruwać! — wykrzykiwał Antek.

— No a samoloty, helikoptery, balony i szybowce? — pytała babcia.

— Ach, to są zupełnie nieprawidłowe rozwiązania! W tych wszystkich wynalazkach człowiek jest noszony w powietrzu, wcale nie fruwa! To ma tyle wspólnego z lataniem, co chodzenie albo bieganie z jazdą samochodem, rozumiesz? A człowiek chce fruwać jak ptak!

— Przecież to jest niemożliwe — spierała się babcia.

— Jak to, jak to niemożliwe! To jest tylko jeszcze niewymyślone i niewynalezione! Jeśli woda może unieść człowieka, to i powietrze też musi móc! Oczywiście trzeba do tego jakichś urządzeń! Skrzydła lub śmigło i jakiś silniczek, który zwiększa siłę ludzkich mięśni — rozumiesz?

Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć po pokoiku, machając ramionami jak nietoperz.

— Mówię ci, babciu, że ja to wymyślę! Zobaczysz!

— Nie ma co ukrywać, sama bym sobie chętnie pofruwała — powiedziała babcia marząco.

— A z jedzeniem? Wymyśliłeś coś już? — wtrąciła się Agnieszka.

— Z jedzeniem czego?

— No, sama babcia widzi, jaki on jest niepraktyczny fantasta! Ludzie na ziemi nie mają co jeść, a on wymyśla jakieś fruwole czy fruwoły, zamiast się zająć żywnością dla nich! — oburzała się Agnieszka. — I to mają być najpilniejsze wynalazki!

— Agnieszku! — powiedziała babcia pobłażliwie. — Przecież on się tylko bawi...

— Ja się bawię? — oburzył się z kolei Antek. — To babcia mnie nie zna! Ja to wszystko naprawdę zrobię, zobaczycie! Ale z jedzeniem dla głodnych ludzi... ja już o tym rozmawiałem z tatą i to jest dla mnie za trudne! Bo tutaj żaden pojedynczy wynalazek nie pomoże... Trzeba strasznie dużo pozmienić!

— A bułka-odrostka? — spytała nieśmiało babcia.

— To babcia też o tym myślała? — podskoczyła Agnieszka.

— A ty też?

— No, jasne! Na pewno babcia czytała tę samą bajkę, co i ja! Jak ta czarownica dała tej dziewczynce bułkę, która odrastała, gdy się ją ugryzło, i zawsze była znowu cała!

Lot, Marzenie, Kondycja
ludzka

Głód, Obraz świata

Ale, babciu, to też nie jest takie proste, ja tę całą bajkę już przemyślałam! Na wylot, na wszystkie wyloty!

— No, to ciekawe! Opowiadaj, Aga — poprosili.

— Widzicie, ułożyłam sobie z tego taką półbajkę. Początek — jak bajka, ale później wszystko jak po prawdziwemu. Mogę wam opowiedzieć, do czego doszłam.

— Mów, mów.

— Więc zaczyna się od tego — powiedziała Agnieszka — że jest taka bułka-odrostka, ktoś ją wymyślił. I jeśli, na przykład, przełamiesz ją na pół, to każda połowa, rozumiecie, odrasta. Więc powstają dwie bułki.

Wtedy się robi taki wzór matematyczny, rozumiecie: dwie bułki, cztery bułki, osiem bułek, szesnaście bułek, trzydzieści dwie bułki, sześćdziesiąt cztery bułki, sto dwadzieścia osiem bułek i tak dalej, aż już jest dosyć bułek... To jest coś!

Ale teraz zaczyna się problem samolotów, pociągów, statków i samochodów, żeby te wszystkie, wszystkie bułki pozawozić do wszystkich głodujących. Daleko! W Indiach, w Meksyku, w różnych odludnych zakątkach, gdzie trudno dojechać... I żeby one po drodze nie szcerstwiały, bo co, suche bułki ludziom rozdawać? Zęby sobie połamią!

— Ja mam ulepszenie! — wtrącił się Antek. — Po co wozić tyle bułek? Zawozisz tylko jedną i dopiero na miejscu dzielisz.

— Racja! Na to nie wpadłam. To rzeczywiście ułatwia! Ale i tak musisz sam wszędzie przyjechać i każdemu dać bułkę do ręki, rozumiesz? Przecież taki zgłodniały człowiek nie przyleci do ciebie po bułkę przez pół świata. Nie będzie miał siły!

— Ktoś by ci przecież pomógł! — dopowiedziała babcia.

— No! I tu się zaczyna następny sęk. Potrzeba do tego okropnie dużo porządnych i uczciwych ludzi, którzy chcieliby na to poświęcić swój czas. I to, rozumiesz, dorosłych, bo dzieci w taki świat nie puszcza. No i co się dzieje?

Jeden pyta: a co mnie z tego przyjdzie?

Drugi powie: mało mam roboty? Z bułką będę jeździł!

Trzeci... Owszem, chętnie się przewietrzy, lubi podróże... tylko że po drodze bułkę zgubi... albo mu ukradną!

— No i zaraz ktoś może wpaść na pomysł, że bułkę warto schować i mieć dla siebie prywatnie! W razie jakby co... albo dla jednego tylko kraju za darmo całe wojsko nakarmić! Żeby był najsilniejszy ze wszystkich sąsiadów! Mogą z tego wojny wyniknąć — dodał Antek rzeczowo.

— Pewnie! Ale popatrz dalej. Przyjechały ze świata bułki i jakiś urzędnik rozdaje wszystkim po kolei. Rozdaje, rozdaje, zmęczony się i myśli: takim to dobrze! Za darmo bułki dostają, a ja cały dzień nad tym koszykiem jak głupi się schylam! A tym łapserdakom z nieba bułka spada...

Tak być nie powinno. Nawet i od najbiedniejszego coś przecie można wydębić!

„Dam ci bułkę za darmo — powie wreszcie taki urzędnik — jak mi się będziesz nisko kłaniał. Nie tak byle jak! Niziućko, jeszcze niżej! Ja, twój dobrodzieju!” A z czegoś podobnego znowu jakieś zło musi wyniknąć, prawda?

— Ano, prawda — potwierdziła babcia ze smutkiem.

— No, ale wreszcie — ciągnęła Agnieszka — nasze bułki dotarły do tych, co potrzeba. Część tylko, ale zawsze. No i co teraz się dzieje? Ludzie, którzy długo nie mieli co jeść, dorwali się do bułek. Dalejże robić zapasy! Łamią wciąż bułki na pół, mnożą je i mnożą! Już im się w domu nie mieści, a oni nic, tylko łamią i łamią. Zanim ktoś wyda zakaz łamania, cały ziemski glob, zasypany bułkami, może zginąć! Drudzy znowu najedzą się bułek jak głupi, po dwadzieścia dziennie, brzuchy im pękają. Pochorują się. Kłopot. Lekarzy trzeba coraz więcej.

Trzeci znowu myślą sobie — cha-cha-cha! — po co się mam wysilać, robić coś, kiedy zawsze czeka na mnie bułka! Najlepiej położyć się na plecach i patrzeć w niebo! Leżą sobie na tych plecach, myślą — i co wymyślili: bułka to nudziarstwo! (zresztą trochę słusznie, bo rozumiecie, same bułki to jeszcze dla człowieka nie dość, ale to już inna sprawa). Przydałoby się jeszcze, żeby kielbasę-odrostkę dawali! Śledzia-odrostka, ogórków kiszonych, kapusty, tortu, ananasów, bananów, lodów, kawioru-odrostu i ostryg-odrosty! A do tego jeszcze domu, samochodu, butów na obcasie.

— Telewizora z drapaczem w pięty! — palnął Antek.

— Tak. Cicho! A czwarci co robią? Nic tylko chodzą i mierzą, bułki porównują. Niesprawiedliwie! — krzyczą. — Jego bardziej wypieczona, moja krzywa z boku...

— Ojej — złapała się za głowę babcia. — Co ty tak, Agnieszko, wszystko czarno widzisz?

— Wcale nie, babciu, tylko jak się chce coś zrobić porządnie, trzeba z góry przewidzieć wszystkie trudności. Więc przewidziałam. I wychodzi, rozumiecie, że musiałyby to być nie tylko bułka-odrostka, ale jeszcze bułka-rozumka, bułka-uczciwka, bułka-sprawiedliwka.

— I bułka-zapałka!

— Zapałka?! — zdziwiły się babcia z Agnieszką chórem.

— No! Żeby ludzie mieli zapał! Żeby im się chciało! Bo jak mi tu zaczęłaś o tych wszystkich okropnych skutkach, to od razu mi się odechciało moich wynalazków! Bo z tego wynika, że każdy wynalazek może być zarazem wygubkiem! Czyli oprócz korzyści może przynosić szkody i kłopoty!

— No i widzi babcia, jaki on jest? Najpierw fruwa sobie w obłokach na swoich fruwadłach, a jak tylko spadnie na ziemię, to zaraz oświadcza, że nie warto! A czy ja mówię, że nie warto? Ja właśnie mówię, że trzeba bardzo dużo rzeczy bardzo mądrze pourządzać. Zrobić dużo różnych wynalazków. Założyć takie specjalne Bułkowe Towarzystwo! My nawet już... — tu Agnieszka zacichła, jakby w porę się powstrzymała przed wygadaniem jakiegoś sekretu.

— Domyślam się... — powiedział Antek. — To ty i te twoje koleżanki, co przychodzą... Ten wasz Związek... i te mapy, i książki... to właśnie po to? A ja myślałam, że to takie dziewczynskie podlizywadła... że wy chcecie tylko piątki zbierać, no wiesz!

Zamilkły wszyscy i tylko słychać było, jak Antek skrobie się w głowę skorupą od orzecha.

— A ja bym się tobie nie przydał? — spytał wreszcie nieśmiało i prosząco.

— No pewnie, że się przydasz! Nawet i te twoje fruwadła, w ostateczności też się dla nich znajdzie jakieś zastosowanie! — powiedziała Agnieszka.

— Ojej! — westchnęła babcia po raz drugi. — Jakie wy, dzieci, jesteście teraz mądre! Czuję, jak i ja robię się przy was coraz mądrzejsza. I przypomniało mi się coś, co mówił pewien niemodny dzisiaj filozof! Że wspólnym wysiłkiem bardzo wielu milionów ludzi można ten świat odrobinkę zmieniać na lepsze! A masz jeszcze, Antosiu, jakieś wynalazki na tej swojej liście?

— Właśnie, że już więcej nie zdążyłem... bo Aga kazała mi froterować podłogę przed świętami...

— Jejku! — przerwała mu Agnieszka, patrząc ze zgrozą na zegarek. — Przecież my musimy do domu!

— Jak to? Zostajecie przecież u mnie na noc. Tak samo jak w zeszłym roku! Wszystko było uzgodnione z waszymi rodzicami! Ja już wam tu, o, przygotowałam spanie.

Babcia odsunęła kotarę i pokazała ukryty we wnęce przestronny tapczan.

— A ja na amerykańce, o tu, bo już więcej miejsca nie mam.

Antek z Agnieszką znowu wymienili zdumione spojrzenia.

— No, jeśli uzgodnione...

— Oczywiście! — stwierdziła babcia stanowczo. — Zresztą, jak teraz dotrzecie do domu? Już późno, żadna komunikacja nie kursuje. Nie wzięliście swoich piżam? To nic, pożyczę wam nocne koszule. Mam ich spory zapas!

Było w tym sporo racji. Jeśli zabłądzili za dnia, tym bardziej nie odnajdą drogi po ciemku. Łatwiej już jutro rano... Nie chciało im się stąd ruszać, wcale a wcale. Tylko że z drugiej strony...

Nagle spojrzenie Antka natknęło się na telefoniczny aparat, stojący na stoliku przy oknie.

— Patrz — powiedział i wskazał go wzrokiem siostrze.

— A czy możemy zadzwonić do domu?

— No pewnie, że dzwońcie. A pozdrówcie rodziców ode mnie — oświadczyła babcia i zaczęła zbierać ze stołu talerzyki i szklanki.

Antek podskoczył czym prędzej do słuchawki i przyłożywszy ją do ucha, wykręcił domowy numer.

To, co usłyszał, wprawiło go w najwyższe zdumienie. W słuchawce nie było sygnału, tylko od razu odpowiedział mu jakiś monotony, nieznamy, męski głos:

„Wszystko uzgodnione. Nie przerywać programu. Wszystko...”.

Zlikwidował połączenie i podał słuchawkę Adze.

— Ty spróbuj — powiedział.

Wykręciła numer i na chwilę znieruchomiła ze słuchawką w ręku. Pokręciła ze zdziwieniem głową i odłożyła słuchawkę na widelki.

— No i co ty na to? To jest nagrane na taśmę!

— Ja też to zauważyłem! To jest jakiś automat...

Weszła babcia, niosąc talerz orzechów i jabłek.

— Wiecie co, może jeszcze przed snem powróżymy sobie z wierszy?

— A jak to się robi? — zaciekawili się oboje.

— Z wierszy wróży się tak samo jak z wosku — powiedziała babcia z uśmiechem, wyciągając z półeczki pękata, niebieską księgę.

— Tak samo? To nie może być! Przecież świeczkę się rozpuszcza w rondelku i potem się wylewa do zimnej wody na misce. Z tego się robi taki świecowy kleks. Ten kleks to jest właśnie wróżba, prawda? — upewniał się Antek.

— Kleks to tylko początek. Reszta zależy od wróżbodawcy i od wróżbobiórce. Ale przekonasz się sam. Musisz wybrać sobie numer strony, jaki chcesz, a na tej stronie numer linijki, od której mam zacząć czytanie. Ja otworzę książkę w tym miejscu i przeczytam na głos. A potem zastanowimy się, co ta wróżba oznacza, jaki może być jej sens...

— No dobra, to zaczynamy! — zawołał Antek. — Ja mogę być pierwszy. A ile ta książka ma stron?

— Czteryście siedemdziesiąt.

— To ja wybieram ze strony dwieście piętnastej... linijkę ósmą!

— Już... szukam — powiedziała babcia i zaczęła przewracać kartki. — Mam!

I przeczytała:

„Pójdę wyżej, pójdę dalej,
Bo się jasne słońce pali”.

— O raju! — zmartwił się Antek. — To na pewno znaczy, że tato znowu nas będzie włączyć ze sobą po górach w czasie wakacji. A w dodatku w okropnej spiekocie, warze i skwarze. A już myślałem, że wyciągniemy w tym roku rodziców na jakieś chłodne wody. Że będę sobie leżeć na łódce i patrzeć w chmurki. Zauważyłem, że to bardzo dobrze robi na myślenie... A tu trzeba będzie włączyć na wierzchy i przełęczki! Ojojoi!

— E, chyba nie! — pocieszyła go siostra. — Ten wiersz raczej ci wróży, że polecisz w kosmos.

— W kosmos? Na piechotę, coś ty? Przecież tam jest wyraźnie napisane, że ja pójdę, a nie, że polecę!

— A moim zdaniem — powiedziała babcia — ta wróżba może również dotyczyć twoich wynalazków. Że wymyślisz naprawdę rzeczy, których jeszcze nie wymyślił nikt na świecie.

— Pewnie, że wymyślę! Ale to słońce? Co słońce ma do tego?

— No, słońce, rozumiesz, to taka bułka-zapałka — wytłumaczyła mu siostra. — Jak świeci słońce, to ludzie mają wtedy chęć coś zrobić, działać, rozumiesz.

— Ano, na taką wróżbę to się zgadzam — oświadczył Antek. — Teraz ty, Aga — wybieraj!

— Zaraz wybiorę, tylko coś jeszcze powiem. Coś wymyśliłam. Że wróżba zależy od wróża. Od wróża zależy, jaki cień rzuci z wosku na ścianę. Pod jakim kątem go nachyli, czy go oddala, czy przysuwa. A z wierszem jest tak samo, jak z tym kleksem. Z tego samego wiersza można różnie wywróżyć. A teraz — zamysliła się na moment — strona sto osiemnasta, linijka dwunasta!

Babcia znowu przekartkowała księgę i znalazła wiersz:

„Świat do serca przycisnąć
jak bukiet fiołków.

A serce zawiesić nisko nad ziemią
jak gwiazdę, wróżącą pogodę”.

— Jejku! — złapał się za głowę Antek. — Niesamowita sprawa! Ja tego ani w ząb nie rozumiem, ale wiem, że ta wróżba jest na sto procent prawdziwa i pasuje do Agi jak ulał! Bo ona taka właśnie jest, ta moja siostra!

Agnieszka milczała, skubiąc frędzelek serwety, a na jej buzię wypłynął zawstydzony, ale i zadowolony uśmiech.

— Bo wyobraź sobie, babciu — ciągnął Antek — że ona wszystkich lubi i wszystkim pomaga! Nawet zupełnie okropnym osobom! I na nią po prostu wystarczy spojrzeć, a już wiadomo, że wszystko zawsze będzie dobrze. A jak nie wiadomo, co jest dobrze, a co niedobrze, to też wystarczy na nią spojrzeć, bo ona ma to zawsze wypisane na nosie!

Uśmiech Agnieszki stawał się coraz bardziej zawstydzony, a coraz mniej zadowolony.

— Oj, już przestań! — powiedziała wreszcie. — Bo zaraz cię palnę! Wcale ja taka nie jestem!

— Czego? — obruszył się Antek. — Przecież dobrze ci mówię!

— Ale pochwały to są jak łaskotki — powiedziała babcia — za dużo ich nie można wytrzymać.

— No, czasami bywasz małpowata, to też prawda — stwierdził Antek. — Teraz ci już lepiej?

Zamiast odpowiedzi siostra uniosła szybko rękę, jakby chciała rzeczywiście palnąć brata, ale rozmyśliła się w pół drogi.

— Właściwie — powiedziała — każdy człowiek to też jest tak jak świeczkowy kleks albo jak wiersz. Każdy wróż może w nim zobaczyć inną wróżbę, rozumiecie?

— Uo ueraz — oświadczył Antek, nawlekając na swoje zdanie kilka potężnych ziewnięć — my pouawróżymy uabci...

— To chyba innym razem — oświadczyła babcia stanowczo. — Teraz już musimy iść spać.

— Nie, jeszcze nie musimy! — zaprotestował Antek.

— Niestety — powiedziała Aga. — Masz to wypisane na nosie.

ROZDZIAŁ IV

Agnieszka obudziła się szarym rankiem na szerokim babcinym tapczanie, we wnęce za kotarą. Sięgnęła po swój zegarek, aby zobaczyć, którą godziną. Dochodziła dziewiąta.

Spostrzegła także, że małe okienko na zegarowej tarczy, to, w którym zawsze pokazywała się data, zmatowiało, zapociło się i nic nie było w nim widać.

„Pewnie zamoczyłam przy myciu — pomyślała. — Szkoda! Ale może samo wyschnie i wtedy się zreperuje”.

Antek usiadł na posłaniu, drapiąc się w głowę.

— Cześć — powiedziała do niego. — Bardzo ci znakomicie w tej koszuli w różyczki. Wyglądasz jak grzeczna dziewczynka.

— Znów mi — odezwał się Antek z wyrzutem — znów mi przeszkadzasz myśleć.

— A wymyśliłeś coś na nasz temat?

— Właśnie wymyśliłem... że albo jesteśmy w jakiejś bajce... — przecież przyznasz, że ta babcia jest dosyć bajkowata!

— Hm — odparła Aga — jak na bajkę to wszystko jest zbyt prawdziwe, a jak na prawdę — zanadto bajkowe...

— To w takim razie coś nas porwało! Kosmici! — oświadczył z przekonaniem Antek.

— Słuchaj! — powiedziała Agnieszka. — A może po prostu znaleźliśmy się nagle w innym mieście? Może wsiedliśmy w jakiś międzymiastowy tramwaj i to on nas tutaj przywiózł? Musimy się jakoś dostać do domu, bo rodzice na pewno się zamartwiają!

— A mnie się zdaje, że oni wszystko wiedzą o nas, że ktoś ich zawiadomił. Z tego kosmosu.

— Uspokój się, przecież nie jesteśmy w żadnym kosmosie! Nie poznajesz naszego miasta? Przecież od razu widać, że jesteśmy u nas!

— W każdym razie — powiedział natchnionym głosem Antek. — Jesteśmy we władzy jakichś niezidentyfikowanych sił. Należy przystosować się do okoliczności i bacznie obserwować otoczenie.

— Oj, ty przemądrzalcu! Gdzieś to znowu wyczytał?

— W „Młodym Techniku”, w jednym takim opowiadaniu — wytłumaczył skromnie Antek.

— Dzieci! Obudziłyście się? — zapytała babcia zza kotary. — Wstawajcie na śniadanie, bo niedługo chyba musicie już iść!

Zeskoczyli z posłania, płacząc się w długich, flanelowych koszulach, i pobiegli się umyć i ubrać.

Po śniadaniu babcia pożegnała ich, machając ręką z okienka.

— A przyjdźcie w przyszłym roku! Albo nawet i wcześniej! Odwiedźcie mnie jeszcze!

— No i co teraz? — zastanawiała się Agnieszka, gdy już wyszli z bramy.

— Ruszamy przed siebie! Ja mam jakieś przeczucie, że to samo lichy, które nas tutaj przyniosło, doprowadzi nas do domu we właściwym czasie!

Powędrowali więc ulicami, rozglądając się uważnie dookoła, żeby nie przegapić żadnego śladu, który mógłby naprowadzić ich na właściwą drogę.

— Popatrz, Aga! — krzyknął nagle Antek, wskazując ręką w górę.

Ulicą, gdzieś na wysokości drugiego piętra, frunął ptak — zupełnie niesamowity. Był wielkości gawrona mniej więcej, ale wyglądało, że ten gawron wybiera się na bal przebierańców. Skrzydła miał czerwone, grzbiet zielony, na łebku żółtą plamę. Ptak to się wznosił, to opadał, jakby wypatrując czegoś na dole. Leciał naprzeciw nich.

Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś pomieszał czarno-biały film z kolorowym. Domy bowiem były szare, lekko ośnieżone, drzewa ciemne i bez liści i jaskrawy ptak wyglądał na tym tle całkiem niecodziennie, jakby przylatywał z innego świata.

— Uciekł z ZOO czy co? — powiedziała Agnieszka, obserwując ptaka.

A on tymczasem sfrunął jeszcze niżej i zaczął się zbliżać ku dzieciom.

— To chyba papuga! — zawołała Agnieszka.

Tak, to była papuga, łatwo było poznać, gdy przeleciała tuż nad ich głowami. Potem zatoczyła nad nimi koło, prawie muskając Agę skrzydłem po twarzy i wykrzykując coś ochryple.

— Słyszysz? — niecierpliwił się Antek. — Rozumiesz, co ona woła?

Papuga okrążyła ich powtórnie, wrzeszcząc, teraz już zupełnie wyraźnie:

— Rrratować! Rrratować!

— Patrz! Ona ma na szyi klucze i jakąś kartkę! — zawołał nagle Antek.

A papuga, jakby na zawołanie, siadła na ramieniu dziewczynki.

Agnieszka chwyciła kartkę lekko drżącymi palcami.

Jan Ptasznik

Sklep Zoologiczny

ul. Mosiężna 6 — przeczytała na wizytówce.

Papuga przestąpiła z nogi na nogę i kartka odwróciła się na drugą stronę.

Kimkolwiek jesteś, nakarm zwierzęta, bo zginą.

Ptasznik

— No i co? — zapytał Antek z wahaniem w głosie.

— Jak to „co”? Idziemy! — stwierdziła Agnieszka i delikatnie zaczęła zdejmować cienki rzemyczek z głowy ptaka.

Gdy tylko to uczyniła, papuga wzbija się znów w powietrze i leciała tuż-tuż przed nimi, jakby wskazując im drogę.

Ruszyli więc za nią.

Ulica Mosiężna była najbliższą przecznicą. Sklep znaleźli zaraz za rogiem.

W wystawionej w witrynie klatce miały się niespokojnie laciaste morskie świnki. Obok, w przeszklonym pudle, tupał ślamazarnie maleńki żółw. Leżały tu także grube i lśniące muszle z dalekich mórz, rozgwiazdy, gałązka koralu, jakieś dziurkowane kamienie, o których nic nie można było powiedzieć, co to za jedne.

Antek wziął klucze od siostry i zaczął wybierać ten od kłódki, która zamykała żelazną sztabę.

Kluczyk obrócił się łatwo, więc delikatnie odstawili sztabę na bok. Antek nacisnął klamkę, lecz drzwi się nie otworzyły.

— Drugi rraz! Drugi rrraz! — zaskrzeczała papuga.

Antek domyślił się więc, że trzeba teraz użyć drugiego klucza.

Wsunął go do zamka, przekręcił i teraz drzwi stanęły otworem. Weszli do środka.

Od progu powital ich gęsty, duszący zapach. W mrocznym wnętrzu rozlegały się jakieś szmery i szelesty, coś chrobotało, mamrotało, skrzypiało.

Zatrzymali się w drzwiach, bo obleciał ich strach, dziwny jakiś — niby to niestraszny, ale jednak niedający przejść.

Lecz papuga śmiało wpadła do środka i przysiadła na jakimś kołku, wykrzykując z lubością:

— Dobrra Marrysia! Mądrrra Marysia!

— Nie jestem ja Marysia — pouczyła ją Agnieszka i już śmielej wsunęła się do wnętrza, znalazła kontakt i zapaliła światło w sklepiku. Gdy tylko zabłyśła żarówka, zaraz zaświergotał jakiś ptak, a potem drugi i trzeci, i od razu zrobiło im się różnie.

Był to sklepiak maleńki i pełen żywych stworzeń. Klatki piętrzyły się jedna na drugiej. Rzędem stały akwaria, w których drobnymi banieczkami gulgotało powietrze i przesuwały się z wolna kolorowe rybki.

Z kąta pod ścianą dobiegło jakieś szamotanie i po chwili z leżącego na ziemi koca wyplątał się młody i tłusty szczeniak — bokser. Stał na wprost nich na rozkraczonych łapach i zaczął im urągać niewprawnym, załamującym się basem, który co chwila, niechęć, stawał się ciekawym, szczenięcym piskiem.

— Mądrrra! Dobrrra Marysia! — ofuknęła go zaraz papuga, a Antek przykucnął i wyciągnął do psiaka rękę. Bokserek załopotał krótkim ogonkiem, przyskoczył do Antka i zaczął mu czule obgryzać palce.

— Przecież już ci mówiłam, że nie jestem Marysia! Jestem Aga — powiedziała Agnieszka do papugi. — Aga! Aga! — powtórzyła jeszcze kilka razy. — Lepiej byś mi wytłumaczyła, czym i kogo tu karmić, bo nie mam pojęcia! Jedzenie musi tu być gdzieś na miejscu! — zaczęła rozglądać się dookoła.

Papuga nie odrzekła na to nic, za to nagle i ostro rozdzwonił się telefon, stojący na sklepowej ladzie. Antek i Agnieszka podskoczyli, jakby ktoś ich przyłapał na gorącym uczynku.

— Ty — szepnął Antek, spoglądając na siostrę okrągłymi ze strachu oczami. — A jeśli to milicja sprawdza, czy ktoś się nie włamał do sklepu?

— Ojej, jakiś ty niemądry! — uspokoiła brata Agnieszka i sama zaraz poczuła, że też się uspokaja. — Milicja toby przecież od razu przyjechała, zamiast dzwonić i płoszyć złodzieja. A my jesteśmy w porządku. Mamy klucze i list od właściciela.

Podeszła do lady, na której stał telefon, podniosła słuchawkę i powiedziała drżącym nieco głosem:

— Słucham.

— To ja, Ptasznik — odezwał się łagodny głos w telefonie. — Więc jednak się udało! Czy... czy pani... przepraszam, że tak powiem, jest dzieckiem?

— Mam trzynaście lat — odpowiedziała Agnieszka, nie wiadomo czemu rumieniąc się po uszy. — I jestem tu z bratem, a on ma osiem lat.

— Tak właśnie myślałem, że to najpewniej będą jakieś dzieci. Na dzieci najprędzej można liczyć w takich sprawach dziwnych i niespodziewanych. Ale w mojej sprawie nie ma nic tak znowu bardzo dziwnego, poza sposobem, w jaki was tu zwabiłem... Po prostu lękotka...

— Czy to też jakieś zwierzę? — spytała Agnieszka.

— Nic podobnego. To jest taka mała kostka, a raczej chrząstka w moim kolanie. Od czasu do czasu zapomina, jak się powinna zachowywać. — Chrup! — wtedy trzeba nogę wkładać w gips. No i właśnie dzisiaj zapakowali mnie w gips i przywieźli do domu. Ja sobie jakoś radzę, bo to mi się zdarza nie pierwszy raz... Ale teraz właśnie są święta... — wszyscy znajomi i sąsiedzi porozjeżdżali się. Mój pomocnik wraca dopiero pojutrze... Postanowiłem więc, nie mając innego wyjścia, wysłać Marysię z kartką i z kluczami.

Wiedziałem, że będzie latała koło sklepu i, prędzej czy później, kogoś zaczepi. Ona jest bardzo towarzyska!

— Aha, więc to papuga ma na imię Marysia! A ja cały czas myślałam, że ona mnie tak nazywa, i tłumaczyłam jej, że ja nie jestem Marysia, tylko Agnieszka!

Pan Ptasznik zaśmiał się.

— Na pewno woła bez przerwy „Mądra Marysia!”. Bo ona po prostu cierpi na chroniczny głód pochwał. Jeśli nikt jej nie chwali, sama zaczyna się wychwalać. Ale ja ci tu opowiadam dyrdymałki... zamiast bardzo, bardzo wam podziękować, żeście zechcieli przyjść i dopomóc mi...

— Ale właśnie jeszcze myśmy nic nie zrobili... Bo nie wiemy...

— No a ja też dlatego dzwonię, żeby wam wytłumaczyć, co i jak. Pokarm dla zwierząt znajdziecie w szafie i w lodówce na zapleczu. Na opakowaniach są napisy. Teraz posłuchaj... Zapamiętasz wszystko, co i jak?

— Postaram się...

— Dobrze, za jakąś godzinę zadzwonię do was, to wtedy będziesz mogła zapytać, jeśli czegoś zapomnisz...

Po wysłuchaniu wszystkich instrukcji i pouczeń Agnieszka odłożyła słuchawkę. Teraz można już było zabrać się do roboty.

— Ja będę karmił ryby, dobrze? — spytał Antek. — Tylko powiedz mi, czym.

— Trzeba im nasypać po trochu tego żółtego pokarmu i tego różowego. — Agnieszka gospodarowała w szafie, wystawiając słoiki, torebki i puszki. — Tu masz specjalne łyżeczki, żebyś wiedział, po ile.

Sama zabrała się do karmienia ptaków i zmieniania im wody w miseczkach.

„Dobrze — myślała sobie — że pochodziłam trochę na kółko biologiczne w zeszłym roku. Okazuje się, że wszystko może się człowiekowi przydać w życiu...”

Podeszła potem do klatki z chomikiem, który wyrwany ze snu pracowicie usiłował przepiłować zębami metalową siatkę swego pomieszczenia.

— Ja skończyłem! — zawołał Antek.

— To chodź, potrzywasz mi chomcia, a ja mu tymczasem sprzątnę.

— Chachachuchi! — zaśmiał się po chwili Antek, zwijając się i podskakując, bo chomik wtargnął mu do rękawa i rozpoczął swoją ulubioną podróż tunelem, łaskocząc Antka maleńkimi łapkami.

Pies płatał się im pod nogami i poszczekiwał, chcąc przyłączyć się do zabawy.

Wielki ptak, stojący na szczycie budowli z klatek, zakolysał się nagle i pochylił dziób, jakby chciał zamierzyć się na szczeniaka. Aga podskoczyła, chcąc go osłonić, lecz ptak znowu zamarł w bezruchu.

— Ten jest wypchany — uspokoił ją Antek. — On się tylko kiwa, kiedy się chodzi.

— Masz rację. To chyba czapla. A ja już się zlekłam, że będzie jakaś bójka.

— A ten? Tego też będziemy karmić? — spytał Antek, wskazując na sporej wielkości szarego węża, który drzemał, pozwijany w misterne supły i tylko od czasu do czasu jakimś niedostrzegalnym prawie ruchem dawał znak, że on wcale nie jest wypchany.

— Nie, pan Ptasznik powiedział, że jemu nic nie potrzeba. On będzie głodny dopiero za kilka dni.

Nakarmili jeszcze psa, według przepisu — mlekiem i słodkim twarożkiem. Obdzielili ptaki, chomika i żółwie plasterkami jabłka oraz sałatą i właśnie zaczęli chować z powrotem do szafy wszystkie jedzenia, gdy znów zadzwonił telefon.

— Dzieci, jesteście wspaniałe! — oświadczył pan Ptasznik po wysłuchaniu całej ich relacji. — Kiedy skończycie, zamknijcie sklep i powieście Marysi klucze z powrotem na szyi. Ona przyniesie je do mnie. Tylko jeszcze jedno...

— Proszę pana, a co będzie z psem? Jego chyba trzeba wyprowadzić, a poza tym czy on może na tak długo sam tu zostać?

— Właśnie — powiedział pan Ptasznik. — Właśnie. To jest mój następny kłopot. Teraz, kiedy już nakarmiliście zwierzęta, poczekają one sobie spokojnie do pojutrze, do powrotu mego pomocnika. Wszystkie — z wyjątkiem psa. On nie wytrzyma przez dwa dni bez jedzenia i w zamknięciu.

— To co z nim mamy zrobić? — spytała Agnieszka rzeczowo.

— Gdybyście mogli jeszcze i w tej sprawie mi pomóc! Widzę tylko jedno wyjście. Otóż ten pies już jest kupiony i zapłacony. Miał być odebrany zaraz po świętach. Sięgnij, Agnieszko, pod ladę. Tam znajdziesz mały kluczyk wiszący na sznurku. Otwórz nim małą szufladkę, tam trzymam zawsze bilon, drobne pieniądze. Weźcie sto złotych, złapcie taksówkę i zawieźcie małego pod adres, który zaraz podam. Do nowych właścicieli. Wy tłumaczcie, co i jak, niech go przyjmą te dwa dni wcześniej. Potem będziecie już wolni.

— Dobrze — powiedziała Agnieszka. — To my tak zrobimy.

— Za drzwiami na wieszaku znajdziecie jego szelki i smycz. Jest bardzo nieposłuszny, ale to jeszcze głuptas, więc na pewno dacie sobie z nim radę. I jeszcze raz wam dziękuję!

Wzięli psiaka na smycz. Zamknęli drzwi, założyli sztabę. Pożegnali Marysię, mówiącej, że jest brrrrdo mądrra i dobrrra. Papuga przymknęła z rozkoszą oczka.

— Brrrrdo mądrra, brrrrdo dobrrra — powtórzyła kilkakrotnie.

Po czym rozwinęła skrzydła i odleciała.

Agnieszka i Antek ruszyli w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ V

Dopiero na ulicy, na powietrzu okazało się, co potrafi bokser. Pies uznał najwyraźniej, że prowadzenie na smyczy to taki rodzaj urozmaiconych zawodów sportowych, które wymyślił dla niego Antek. Postanowił wziąć w nich aktywny udział i dołożyć wszystkich swych sił. Zapierał się czterema łapami, szorował pupą po mokrym chodniku albo zrywał się i pędził radośnie naprzód, wyrывая chłopcu rękę z przegubu. Jazda na zębach to był następny jego pomysł. Do kolejnych należały: wybiec naprzód, zawrócić, przemknąć między nogami Antka, owinąć mu smycz wokół kostek i dopiero wtedy uwiesić się na niej i szarpać na wszystkie strony lepetyną.

Na szczęście zaraz niedaleko zobaczyli postój i czekające na nim taksówki. Pies rzucił się do samochodu, gdy tylko zdążyli uchylić drzwi, i bez namysłu skoczył ubłoconymi łapami na siedzenie.

Kierowca spojrzał na nich spod oka i zaczął:

— Z psami...

Lecz nie zdążył dokończyć, bo pies natychmiast zaczął witać go tak radośnie, jakby spotkał po długim niewidzeniu najserdeczniejszego przyjaciela. Wskoczył przednimi łapami na plecy kierowcy i wylizał go starannie, na mokro, po szyi i uszach.

Było prawie pewne, że kierowca zaraz wyrzuci ich z taksówki. A może nawet każe zapłacić za zabłocone siedzenia i pobrudzoną kurtkę?

Ale, o dziwo — rozchmurzył się zamiast rozgniewać.

— No dobrze, już dobrze — powiedział do psa. — Siadaj.

Pies, co jeszcze dziwniejsze, usiadł potulnie, a kierowca zwrócił się do dzieci:

— Tylko w czasie jazdy trzymajcie go krótko, żeby nie zrobił wypadku drogowego.

Dokąd?

Agnieszka podała adres.

Wóz ruszył i po niewielu minutach szamotania się z psem, perswazji i groźnych przemówień znaleźli się w niewielkiej uliczce. Stały tu rzędem małe, nowo wybudowane domki, niektóre nawet jeszcze niewykończone, ujęte w rusztowania.

Kierowca zatrzymał się przed jednym z nich i powiedział:

— No to jesteśmy w domu.

Pies porwał się gwałtownie do wyjścia, depcząc im po kolanach i rękach. Wysiadł z samochodu z takim samym zapalem, jak i do niego wsiadł. Włokąc za sobą tego zachwyconego całym światem stwora, ruszyli w stronę willi. Weszli przez uchyloną furtkę do ogródka. Stanęli na małym ganeczku i zadzwonili do drzwi.

— Ty — powiedział Antek. — Coś tu jakby ciemno.

Ale po chwili rozległ się jednak za drzwiami jakiś ruch.

Ktoś mocował się z zamkiem, w końcu drzwi uchyliły się, wyjrzała spoza nich kobieca głowa omotana chustką i usłyszeli:

— Kołędników nie trzeba! — trzask! I drzwi zamknęły się z powrotem.

— Ojejku, ale draka! — westchnął Antek i zadzwonił jeszcze raz. Cisza. Jeszcze raz. I znowu nic.

Pies

Pies postanowił przyjść mu z pomocą i rozszczeł się najpierw grubo i groźnie, potem cienie, prosząco i łagodnie, a na koniec piskliwie, smętnie i żałośliwie, prawie z płaczem. Były to odgłosy bardzo wyszukane i po pewnym czasie odniosły skutek.

Drzwi uchyliły się znowu.

— Czy tu mieszkają państwo Morawscy? — zdążyła spytać Aga.

Zachustkowana osoba odpowiedziała:

— Państwo wyjechało! I panienska też.

— Przywieźliśmy tylko psa ze sklepu. Chcemy go zostawić.

— Państwo wyjechało na święta, mówię. Ja nic nie wiem.

Pies zdecydował ponownie, że musi wtrącić do rozmowy swoje trzy grosze.

Huraganowym atakiem rzucił się w szparę uchylonych drzwi. Sforsował próg. I skończył na gosposię z mnóstwem wylewnych i czułych pieszczot.

Kobieta cofnęła się pod naporem psa i otworzyła drzwi szerzej.

— Matko Boska i to ma być pies? To chyba małpa jaka!

— Proszę pani! Państwo Morawscy kupili tego pieska... — zaczęła tłumaczyć łagodnie Agnieszka. Antek natomiast usiłował osadzić, uspokoić, utrzymać szczeniaka, lecz skutek był taki, że ciągniony na smyczy sam znalazł się za progiem mieszkania.

— Proszę pani. Nas przysłał pan Ptasznik... — zaczęła Aga powtórnie.

Na nic jednak nie zdałyby się przemowy i wyjaśnienia Agnieszki. Gosposia wpuściła ich wprawdzie do środka (choć właściwie to wpuścił ich pies), jednakże z uporem powtarzała swoje „ja tam nic nie wiem” i oganiała się ręką od szczeniaka. Ale on nie dawał się zniechęcić. Ogonek poruszał się jak najszybsze wycieraczki samochodowe świata. Przednie łapy opierały się co chwila o wiśniowy sweter gosposi wyciągając zeń niepokojące pętelki i nitki. Gęba śmiała się od ucha do ucha, a różowy ozór rozdzielał na prawo i na lewo serdeczne liźnięcia.

— Pójdiesz do budy! Pójdiesz do pola! — pokrzykiwała pani gosposia na psa. Lecz Agnieszka i Antek ze zdumieniem spostrzegli, że głos jej łagodnieje, jakby roztapiał się pod wpływem gorących objawów psiego uczucia.

— W sobie to ty nawet jesteś niebrzydki, ale ta mordka twoja okropna jak u diabła! — rzekła wreszcie. — Skrzywdził cię Pan Bóg, że ci taką mordkę dał! Coś ty komu, biedaku, zawinił?

Po tej przemowie gosposia przełamała widać wewnętrzne opory, bo otworzyła przed nimi drzwi do czyściuteńkiej kuchni.

— Zajdźcie — powiedziała. — Wszystko wam przetłumaczę. Ja wiedziałam, a jakże, że ma pies być kupiony — oświadczyła, gdy już rozsiedli się na kuchennych stołkach. — Gdzieby tam bez mojej zgody psa do domu wzięli! Nie wiedziałam tylko, że on taki będzie. Bokser, mówią, a co mnie to obchodzi, jak go wołają? Jakem go przez te szybkę zobaczyła, myślę sobie: no, nie będę ja pod jednym dachem z takim diabłem! Mało to zacnych psów, eleganckich na świecie? Udam, że nic nie wiem, od progu odprawię, niech go gdzie chcą odwożą, a jak państwo wróci, to ja wyrażę niezgodę!

Poklepała myszkującego w kuchni psa po głowie.

— Tylko że teraz widzę, jakie to serdeczne, a mądre jakie! Mądry pies! Od razu do bregu człowieka pozna, od razu wie, gdzie dobre serce bije! Złego by tak nie powitał!

Antek i Aga uznali za stosowne przemilczeć fakt, że pies obdarza gorącymi uczuciami cały świat bez wyjątku.

A pani gosposia, wzruszona bardzo tym, co powiedziała o sobie, poczuła nagle taki przypływ życzliwości i sympatii, że nie tylko psa, ale również Agę i Antka postanowiła nią obdzielić.

Sięgnęła więc na kredens i ściągnęła stamtąd obiecującą brytfankę z obiecująco zarumienioną i wypukłą zawartością.

— Placka zjecie! — orzekła. — Nie, placka to potem! Głód wam z oczu patrzy. Dam wam pierwej bigosu. Zawsze to wypada ugościć!

Nałożyła bigosu do małego rondelka i postawiła na gazie.

Wyciągnęła z kredensu talerzyki i sztucce, zaczęła rozkrawać placek.

Pies natychmiast siadł naprzeciwko niej i jego spojrzenie zmieniło się w jedną wielką błagalną prośbę. Na żalostnej teraz gębie pojawiły się malownicze bąble śliny i zaczęły skapywać na podłogę.

— Głodnyś ty też, biedaku! — stwierdziła pani gosposia i podała psu grubachną pajdę placka.

— Proszę pani, on tego nie może chyba jeść! — zaprotestowała Aga. — On ma specjalne dziecinne jedzenie!

Pies, jakby zrozumiał, o czym mowa, zdwoił tempo pożerania ciasta, mlaszcząc i ciamkając jak trzoda zgłodniałych prosiąt.

— U mnie pies głodny nie będzie! — oświadczyła dobitnie gosposia, nakładając im bigos na talerze. Rozsiadła się potem na swym stołku i z zadowoleniem przypatrywała się, jak jedzą.

— A ten Psiarczyk — zapytała — co psami handluje, to pewnie wasz ojciec będzie?

— On jest Ptasznik, a nie Psiarczyk — poprawił Antek.

— Nie ojciec — powiedziała Agnieszka. — On tylko zachorował i nie mógł się zająć tym psem, a myśmy mu pomogli.

— Też dobre dzieci jesteście — westchnęła, stawiając przed nimi placek. — A skądżeście są²?

— My? — odrzekł Antek. — My jesteśmy z Polnej ulicy!

I nie wiadomo, jak to się stało, że tutaj właśnie tej i obwiniętej w chustkę gosposi opowiedzieli o wszystkich swych przygodach dotychczasowych. O wędrowaniu po mieście, wizycie u babci, papudze i o tym, że właściwie nie mają pojęcia, co się z nimi dzieje? Może to kosmici? A może wpadli w jakąś bajkę?

Gosposia słuchała ich, cała zasłuchana.

— Patrzcie, patrzcie! Widzicie, widzicie! — szeptała, podparłszy pięściami brodę jak mała dziewczynka.

— Na pewno to was Błędnice wodzą, do domu dostępu nie dają! Możeście im co zabrali? Możeście im drogę przeszli?

— A bo ja wiem? — wzruszyła ramionami Agnieszka.

— Straszno wam pewnie i ponuro? — dopytywała dalej gosposia.

— Nie! — powiedział Antek. — Jakbym był sam, tobym na pewno miał stracha. Siadłbym i ryczał. Ale z nią to nie.

— Prawda — dodała Agnieszka. — Razem to nam niestraszno. A nawet ciekawie... Tylko że co tam w domu...

— O rodziców, o dom nie trąpcie się, bo dla tych, co je Błędnice wodzą, czas zwykły się zamyka, zegary stają. To tak jakby w las się zagłębił, wielkie koło zatoczył i w to samo miejsce na drogę wyszedł!

— Czas się zamyka? Zatrzymuje? Przecież to jest niemożliwe!

— Nie tak, że całkiem się wstrzyma! Tylko gadali, że inny jakiś się staje. O tym to nawet w telewizorach mówią. Ale kto by tam wyrozumiał wszystkie tajemnice świata i zaświata! U nas, pod Biłgorajem, jeden taki był, co go Błędnice powiodły! Dzieckiem poszedł, a nim wrócił, siwa broda mu urosła!

Antek błyskawicznym ruchem uniósł rękę do podbródka i cichaczem przejechał po nim palcami. Ale zaraz się uspokoił, bo nie znalazł tam na razie ani jednego włoska.

— Żeby wrócić jednak, trzeba jakieś rozkazania spełnić... Ale jakie to były? Nie pamiętam...

I nagle plasnęła się dłonią w czoło.

— Będzie, będzie! — zawołała. — Już się nie martwcie!

Zerwała się ze stołka i w pośpiechu zaczęła przetrząsać szuflady kredensu. Z jednej z nich, spod kłębków sznurka, spod korków i zardzewiałych kluczy wyciągnęła zeszyt. Czarny, gruby, wystrzępiony po brzegach, z pozawijanymi oślimi uszami, cały w tłustych smugach i plamach. Było w nim wiele kartek luźno włożonych, powklejane jakieś wycinki z gazety, ręczne zapiski, a nawet rozprostowane, wygładzone prostokąciki sreberka z jakichś papierosów czy czekolad.

— Całą tę szufladę — powiedziała z triumfem i z oburzeniem — pan mi chciał przeprowadzce wyrzucić! A ile tu mądrości i potrzeby mieszka!

Usiadła z powrotem, wyciągnęła okulary i osadziła na nosie, pośliniła palec i powoli, z namaszczeniem zaczęła przewracać kartki.

²skądżeście są (daw., gw.) — skąd jesteście. [przypis edytorski]

— Szczupak faszzerowany... lin w śmietanie... dobre to rzeczy, tylko mi teraz takie ryby dajcie — zamyśliła się smętnie.

Pies zwinął się w kłębek na dywaniku i zapadł w sen, powarkując, popiskując od czasu do czasu i przebierając łapami, jakby pędził gdzieś we śnie.

— „Kiedy rycerz w żelazie
u wód wielkich stanie,
kiedy słońce ściemnieje...”

— zaczęła czytać gospoia.

— E, nie to, przepowiednia o ziemi naszej... Na razie się jeszcze nie sprawdziła... Szukam dalej. O!

— „Po czarnej jagodzie — kwaśnym mlekiem natrzeć, solą posypać...”. Nie, to jak plamy wywabiać.

Znów przewróciła kilka kartek.

— Teraz to już utrafiłam:

„Jałowcem okurzyć — to jak krowom mleko odejmie.

Koszulę na lewą stronę nosić — to od złego spojrzenia.

Błądnice, jak na przygodę powiodą — drogę całą tyłem przemierz, a do domu powrócisz!” Mówiłam, że radę dla was znajdę!

Wstąpiła w nią nagle wielka energia.

— Dzieci, pojedłyście? — zawołała. — Z psem się pożegnajcie i do domu wam trzeba, póki nie całkiem ciemno! A pamiętajcie, żem się wam dobrze przysłużyła!

Chwyliła z wieszaka ich kurtki, pomogła im się ubrać i prawie wypchnęła do sieni. Przed samymi drzwiami obróciła jedno po drugim tyłem do progu.

— Już teraz zaczynajcie! I dojdźcie szczęśliwie!

Otworzyła im drzwi i patrzyła, jak powoli schodzą tyłem po schodkach. Potem przypadła do okna i odprowadzała ich troskliwym spojrzeniem.

Dreptali potulnie do tyłu, ostrożnie stawiając kroki, nie śmiejąc się sprzeciwić gospoii, bo tak była pewna siebie i dumna, że im pomogła.

— Aga, ty w to wierzysz? To już chyba jakaś lipa!

— Nie mam pojęcia! — rzekła siostra do brata. — Ale nie odwracaj się, bo ona na nas patrzy!

— Kiedy śmiać mi się chce! A jak to prawda?

— No to się śmieć — przyzwoliła Agnieszka i sama uderzyła w chichot.

Jeśli ktoś myśli, że łatwo jest chodzić tyłem bez oglądania i jednocześnie zataczać się ze śmiechu, to poważnie się myli.

Nie przeszli nawet jeszcze stu kroków, kiedy spadli z krawężnika i zaczęli kroczyć po jezdni.

Nie przeszli nawet następnych pięćdziesięciu, kiedy otrąbił ich z boku jakiś samochód. Spojrzeli na niego i zawahali się, czy mają śmiać się dalej, czy też natychmiast przestać? Bo była to stara, rozklekotana nyska i nyska ta, jakby ich przedrzeźniając — również jechała tyłem!

Samochód zatrzymał się obok nich i młody, kudłaty kierowca wychylił się przez okno.

— Hej, a u was co? — zawołał. — Też skrzynia?

— Jak to — skrzynia? — zapytali na dwa głosy.

— Cyt! — powiedział kierowca. — Cicho! Nie wydajcie mnie. Skrzynia biegów mi wysiadła, tylko wsteczny wchodzi. Tyłem muszę jechać! Chociaż do bazy, choć do jakiegoś warsztatu! Ale tu na szczęście taka pustka, tyle tylko że wy!

Antkowi jak błyskawica wystrzeliła z głowy bardzo korzystna myśl.

— Proszę pana! — krzyknął chwytając za klamkę i przekrzykując warkot silnika. — Proszę pana, niech pan nas koniecznie zabierze! Bo my też musimy tyłem! Bo nas wodzi Błądnica!

Kierowca spojrzał na nich z niedowierzaniem, ale otworzył drzwi i zaprosił gestem do środka.

ROZDZIAŁ VI

Antek otworzył jedno oko i natychmiast je zamknął, bo jakaś przeokropna jasność ukuła go pod powieką.

„Co to jest? Co się dzieje, i skąd ja się tu w ogóle wziąłem? A przede wszystkim, gdzie jestem?” — pomyślał.

Nie otwierając na razie oczu, postanowił zorientować się w sytuacji za pomocą innych zmysłów. Leżał, zwinięty w kłębek, na jakiejś niewielkiej ławeczce czy kanapie, przykryty czymś ciężkim i szorstkim. Czuł drzenie ławeczki i słyszał warkot motoru, a więc musiał gdzieś jechać. Gdzie? Dokąd i skąd?

Pomału przypomniał sobie, że wcale nie jest w domu, tylko na tajemniczej wędrownicy.

„To pewnie ci kosmici porwali nas już na dobre i wiozą po jakiejś galaktyce, dlatego jest tak białe! A może miałem jakąś kraksę samochodową i teraz wiezie mnie karetka pogotowia?” — przestraszył się.

Ale kiedy poruszył wszystkimi częściami ciała, okazało się, że wszystko jest na swoim miejscu i że nic go nie boli. Przysłonił ręką oczy i zaczął je powoli otwierać. Kierując wzrok w miejsca najmniej jaskrawe, zaczął rozglądać się dookoła. Trafił spojrzeniem w szczelinę między oparciem a siedzeniem. Przez tę szparę zobaczył następną ławkę za sobą, a na tej ławce skuloną jeszcze bardziej niż on Agnieszkę, posapującą przez sen pod grubym kocem.

„No, dobrze chociaż, że Aga jest!” — pomyślał i przesunął ręką przez szparę, aby szturchnąć siostrę.

Teraz już oswoił się trochę z blaskiem, usiadł i zaczął się rozglądać spod przymrużonych powiek.

Znajdowali się w jakiejś furgonetce, która wiozła ich przez zaśnieżony krajobraz. Wokół rozciągały się góry i pagóry, okryte na szczytach czarną sierścią lasu, a na stokach — białymi prześcieradłami śniegu. Ponad góry gramoliło się właśnie ogromne, pyzate i błyszczące słońce, wysuwając na wszystkie strony drgające, kłujące i ostre jak miedziane druciki promienie.

— Nie śpicie już, brygada? — odezwał się od przodu kierowca. — Zbierajcie się, bo zaraz wasza stacja!

— A skąd myśmy się tu wzięli? — zapytała nieprzytomnie Agnieszka, która właśnie także się obudziła. — My pana wcale nie znamy!

— Znalazłem was w swoim wozie, to i zabrałem ze sobą! — powiedział kierowca wesoło. — Co w wozie — to kierowcy! Oj, śpiochy nieprzytomne! — dodał zaraz, ujrawszy widać przez wsteczne lustro ich zdumione twarze. — Mundek mi was przecie podrzucił! Przyszedłem na trzecią w nocy do bazy, a tu Mundek siedzi z mechanikiem, w cztery wichry przeklina, skrzynię biegów naprawia. Powiedział, że trzeba was wieźć do Błędnicy.

„Masz tam — mówi do mnie — w samochodzie jakieś dzieciaczyny, co do Błędnicy jadą, pewnie na ferie. Weź je, bo ci to po drodze. Wiem, bo to moje strony. Sam je miałem podrzucić, ale ta moja stara kobyła całkiem mi się rozsypała”. Jak zawieźć! Nie budziłem was, boście tak dobrze spali. Mundek was sam kocami przykrył, żebyście nie zmarzli.

Zatrzymał wóz na skraju szosy.

— No to wysiadać, wiara! Do samej wioski was nie dowiozę, za dużo tu śniegu leży w tej bocznej drodze. Przejdźcie się po słoneczku, na przelaj, pod las — wskazał ręką na lewo od szosy — to się lepiej obudzicie!

Antek i Agnieszka, rozziewani jeszcze i półprzytomni, wyplątali się z koców i posłusznie wysiedli z samochodu.

— Wesołych ferii! — pomachał im kierowca i odjechał.

Patrzyli, jak mikrobusik oddala się w słońcu, rzucając im jeszcze raz po raz wesołe błyski z tylnej szyby. Trzęsło ich z zimna i rozespania.

— Teraz to nas dopiero wywiodło w szczerze pole! — zawołał Antek bezradnie. — Skąd on wytrzasnął tę Błędnicę? Albo ten kierowca coś wiedział i też był zaczarowany... Zaczarowany kierowca! Zaczarowana Agnieszka! Zaczarowany ja! — wrzasnął nagle, złapał garść śniegu i cisnął nim w siostrę. Ale śnieg rozsypał się po drodze, bo był zbyt zamrznięty, nie kleił się.

— Nie, poczekaj — uspokoiła go Aga. — Myśmy przecież wczoraj wsiedli do tej nyski, która jechała tyłem...

— Bo pani gospośnia nam powiedziała, że musimy iść tyłem, żeby te Błędnice nas wypuściły!

— I ty mu tłumaczyłeś, że musimy jechać tyłem, bo nas wodzą Błędnice.

— A on na pewno źle usłyszał i pomyślał, że my chcemy jechać do tej wsi, do Błędnicy!

— Potem zajechaliśmy do tego warsztatu i pomagaliśmy jeszcze wpychać samochód do środka! Potem myśmy już chcieli iść dalej, a on nam powiedział, że nie warto, bo już się ściemnia.

— Powiedział, żebyśmy się zdrzemnęli, w tym drugim samochodzie, a on już dla nas wymyśli jakąś radę.

— Więc wiesz, co ja myślę? Że albo on naprawdę musiał się przesłyszeć i pomyślał, że my chcemy jechać do tej Błędnicy...

— Albo coś wiedział! I rzeczywiście według tego „programu”, mieliśmy się tutaj znaleźć!

— No, to co robimy? Czekamy tu na szosie, aż coś będzie przejeżdżało z powrotem?

— Nie, to już lepiej chodźmy do tej Błędnicy! Jeśli ona się tak nazywa, to może tam będzie dla nas wiadomość?

W kierunku wskazanym przez kierowcę biegła pośród zasp wąska ścieżka, przetarta śladami sanek i nart, wydeptana ludzkimi butami.

Ruszyli tą ścieżką. Szli powoli. Słońce podnosiło się coraz wyżej i wyżej, a że ścieżka też podchodziła coraz wyżej i wyżej, więc zaraz przestało im być zimno. Poczuli się nawet, mimo grudniowego dnia, całkiem wiosennie. Rozpięli kurtki, pozdejmowali czapki, rozluźnili szaliki i zaczęli walić się śniegiem, który podtajał trochę na słońcu i dawał się lepić w niezłe nawet kule.

— Więc ten sposób z chodzeniem do tyłu okazał się jednak nieskuteczny! — wołał Antek, rzucając kulą w Agę.

— Skąd wiesz? — odkrzyknęła, uchylając się zręcznie.

— Przecież przerwaliśmy jazdę tyłem, a potem znów jechaliśmy naprzód! — dodała, schylając się po porcję śniegu.

— Racja! — Antek znów walnął kulą i tym razem trafił siostrę w nogę.

— A masz! — krzyknęła Aga uderzając celnie, tak że pacyna śniegu rozprysła się na szyi Antka.

— Och, ty! — oburzył się i zaczął wytrząpywać śnieg spod kurtki. — A może powinniśmy teraz iść tyłem? — I odwrócił się na pięcie.

Po kilku krokach stąpnął nogą obok ścieżki i już leżał zanurzony głęboko w śnieg. Podniósł się i zawołał:

— Wiesz, to nawet fajne! Ale słuchaj, ty też musisz iść tyłem! Bo jeszcze nas coś rozłączy! Ty zostaniesz, a ja wrócę do domu!

Zaczęli się oboje wspinać tyłem na górkę, przewracając się co chwila, niechcący-namymyślnie, zapadając po pas w śnieg i wyśpiewując na całe gardło ulubioną przez całą rodzinę wakacyjno-wędrowną piosenkę:

Włóczy-kije idą drogą.
Stukają do bram!
Wyruszamy w świat szeroki.
Towarzyszcie nam!
Już nie można zwlekać dłużej,
bo zakwitły polne róże,
a gdy róża się rozwi-ja!
To jest znak dla włóczy-ki-ja!

— Ja tę piosenkę przerabiam! I uaktualniam! Z letniej na zimową! — zawołała Agnieszka. — Będzie tak:

Już nie można zwlekać dłużej,
bo zakwitły śnieżne kurze.

A gdy śnieg się w górę wzbi-ja!
To jest znak dla włóczy-ki-ja!

Tak wyśpiewując, brnęli pod górę w śniegu, który uginał się pod nogami, pękał, kruszył się, wlaził do nogawek spodni i butów.

Nagle góra urwała się gwałtownie i oboje, łapiąc się za ręce, zjechali na brzuchach w dół. Ale tylko trochę, bo zaraz z rozmachem wbili się w niższy, następny pagór.

Ze zdumieniem ujrzeli, że znajdują się na podwórzku wiejskiego gospodarstwa. Przytulone do stoku, zawiane od wierzchu śniegiem, było ono z góry prawie niewidoczne.

Ledwie zdążyli podnieść się na nogi i rozejrzeć dookoła, gdy wezwało ich energiczne łomotanie w szybę. W oknie domu zjawiała się czyjaś twarz, a raptowne gesty ręki przywoływały ich do środka.

Zaraz za progiem czekała na nich kobieta gruba, niemłoda, rumiana. Jej zafrasowana twarz rozjaśniła się uśmiechem ulgi na widok przybyszów.

— Chodźcie, chodźcie, dzieciaki! Z niebaście mi spadły! Robotników mi potrzeba, i to prędkich, bo sama nie poradzę. Dziecko się nam tutaj rodzi!

Przesunęła ręką po czole, zostawiając tam czarną kreskę sadzy.

— Rozbieraj się, dziewczynko, a ty, chłopcze, leć do tej, o — pokazała palcem przez okno — komórki i tyle drzewa przynoś, ile udźwigniesz! Ze trzy razy obróć!

W głosie jej, choć niedonośnym, było tyle siły, co w generalskiej komendzie, wysyłającej do walki żołnierzy. Toteż Antek zawrócił zaraz, bez protestów i pytań, i pobiegł przez podwórze w stronę komórki.

ROZDZIAŁ VII

— Chłop jej... po choinkę pojechał, samą ją zostawił, a tu dzieciak na świat już puka!
— mówiła kobieta, szykując palenisko i układając w nim drobne szczapki. — Ale ja to chyba radar mam w sobie albo krótkofalówkę jakąś... Wolne dzisiaj miałam i myślę tak właśnie — przebiegnę się, zajrzę, co tam u Joaśki słychać? W samą ostatnią porę zdążyłam! Miał się dzieciak rodzić za kilka dni dopiero... A tymczasem już dziś mu pilno, no i co poradzisz? A w domu zimno, woda niezagrzana, nic nie gotowe! Idę, Joaśka, leć do ciebie! Rozpalaj tu dalej, a jak ogień rozhajcujesz, garnki i czajniki na płycie nastaw, ile tylko ich znajdziesz! — rozkazała Agnieszce i zniknęła za drzwiami izby.

Agnieszka przykucnęła przed paleniskiem i dmuchała w nikły płomyk, aż buchnął jasno i czerwono. Nigdy tego nie robiła, miała doświadczenia tylko z ogniskiem, ale teraz udało się jakoś. Rozejrzała się po kuchni za wodą. Był zlew! A w szafce pod nim muszą być garnki! Były. Odkręciła kran, zaczęła nalewać wodę i ustawiać garnki na płycie.

Przybiegł Antek i zrzucił do koszyka kolejne naręczce drewna.

— Chodźcie tu, chodźcie! — zawołała z pokoju kobieta.

Stanęli oboje w progu. W pokoju, jasnym i czystym, leżała na posłaniu druga kobieta, ciemnowłosa i młoda. Wielki jej brzuch sterczał pod szlafrokiem jak arbuz. Czoło miała lśniące od wilgoci, mokre kosmyki włosów pozlepiały się na głowie. Oddychała ciężko i głęboko.

Na twarzy jej malowała się powaga i skupienie, jak u człowieka, który stoi przed wąską i chwiejną kładką przerzuconą nad urwistym jarem i oblicza swe siły, stawiając pierwszy krok.

Mimo to uśmiechnęła się do nich i wyszeptwała:

— Taki kłopot... a miałam jechać do szpitala za tydzień...

— Proszę pani! — wymyślił od razu Antek. — To najlepiej zawezwać helikopter sanitarny!

— O, mój mądrało kochany! — parsknęła starsza kobieta. — Żebyś ty miał skrzydła, tobyś po ten helikopter poleciał! Albo chociaż do telefonu, bo i do niego jest ze cztery kilometry przez śniegi, że ani koń nie przejedzie! Czasu już na to nie starczy. Nie bój się! Bo to się mało dzieci urodziło na świecie, zanim helikoptery wymyślili? A nawet i szpitale.

Antek obraził się trochę, ale nie zdążył nic odpowiedzieć, bo oto w drewnianym łóżeczku, stojącym pod oknem, coś się poruszyło, zaszamotało. Znad pościeli uniosła się

czarna lepetyna, a potem reszta małego człowieka w porozciąganych śpiochach. Podźwignął się na nogi łapiąc za barierkę i wrzasnął:

— Mama, tata, wstać!

— Patrz, chłopcze! Robotą dla ciebie się obudziła — powiedziała starsza kobieta. — Weź małego do kuchni, bułką i mlekiem nakarm i zabawiaj, jak umiesz, żeby nie płakał i nam tu nie przeszkadzał! A do pieca dokładaj, drzewa i węgla nie żałuj!

Antek podszedł do dziecka i wyciągnął do niego ręce. Malec w odpowiedzi wyciągnął swoje, a gdy Antek podniósł go z łóżeczka, wczepił mu się pięściami w sweter. Tak połączeni wyszli obaj do kuchni.

Kobieta tymczasem krzątała się po pokoju, szybko i zręcznie jak w tańcu, wyciągała z szafy bieliznę, stopy pieluszek, paczkę ligniny, wate, przetrząsała półeczkę z lekarstwami, coraz to rzucając leżącej w łóżku jakieś pytania:

— Żelazko jest, Joaśka?

— Na oknie — odparła młoda.

— Nożyczki?

— W szufladzie.

— Włącz żelazko! — rozkazała Agnieszce. — Nożyczki i te tasiemki zalej wodą w jakimś rondelku, potem mi przynieś!

Stół przesun pod lampę!

Ceratę ściągnij i tu podaj!

Wyciągnęła z szafy dwie męskie koszule, czyste, świeże i poskładane.

— Zrzuć swetry! Nałóż to! — Sama także zrzuciła bluzkę i naciągnęła na siebie białą koszulę. — Zaraz tu urządzimy izbę porodową! — Gadała bez przerwy, podścielając na łóżku ceratę i czyste prześcieradło.

Agnieszka wykonywała wszystkie jej polecenia, zerkając co chwila na młodą kobietę, która siedziała teraz na brzegu łóżka, to oddychając głośno i głęboko, to wstrzymując jakby oddech i marszczyła co jakiś czas czoło w bolesnym grymasie.

— Czy to boli? — odważyła się wreszcie spytać, gdy gruba kobieta wybiegła po coś do kuchni.

— Można się nauczyć, żeby tylko niedużo bolało... Ja to umiem, bo byłam w szpitalu na takim kursie, jak mi się miał Janek urodzić — wskazała ręką na kuchenne drzwi, za którymi siedział Antos z jej małym synkiem. Znowu umilkła i przymknęła oczy, a po chwili dodała: — A ty się nic nie bój, to nic straszego... To ciężka praca po prostu. Póki byłam sama, bałam się, że jak nikt mi nie pomoże, to coś się dziecku stanie... Ale zaraz się uspokoiłam, jak tylko Stasińska przyszła... Ona jest położną, w ośrodku na Borkach pracuje...

— Ejże, dziewczynino! Na co żelazko czeka? — ponagliła Agę wchodząca właśnie położna. — Prasuj mi to, com wyjęła, te prześcieradła i pieluszki! Trzeba na nich bakterie wybić! Zwijaj się, nie stój, bo czasu nie ma!

Aga rzuciła się prasować, a kobieta tymczasem podniosła do góry utrzymaną w rękę flaszkę.

— Joaśka! Spirytus to czy lipa?

— Prawdziwy...

— No, to nasze szczęście! — wybiegła znowu do kuchni, wróciła z dzbankiem wody i z miską, podeszła do młodej i pomogła jej zdejmować ubranie.

Agnieszka odwróciła się wstydliwie na widok tej nagości. Ale położna przywołała ją zaraz.

— Czego się odwracasz, a coś ty to, nie dziewczyna? Chodź tutaj, pomożesz mi przy myciu! Trzeba z dzbanka wodą polewać!

Myła kobietę długo i starannie, a potem ułożyła na przygotowanym już łóżku.

I zaraz przyłożyła ucho do jej brzucha, nasłuchiwała i mamrotała coś do siebie, jakby rozmawiając z ukrytym w środku, niewidzialnym dzieckiem.

— Zabieraj tę miskę! — ponagliła teraz Agnieszkę. — Przynieś mi wodę świeżą!

Szorowała ręce mocno i dokładnie, wciąż żądając więcej wody.

— Spirytusem polej teraz! — zarządziła. Rozcapieryła potem czyste dłonie w powietrzu, żeby nimi niczego nie dotknąć.

— Sama ręce wyszoruj! Prasuj dalej! To, coś wyprasowała, podsuń mi tu, na stołku!

Głos jej teraz stał się prędko i szorstki, skupiony.

Młoda kobieta stęknęła, uchwyciła rękami brzegi łóżka.

Na twarzy jej odmalował się ogromny wysiłek, tak jakby wtaczała pod górę wielki i ciężki kamień.

— Dobrze! — pochwaliła ją położna. — Dobrze się starasz!

Znowu mijaly chwile, aż nagle położna krzyknęła:

— Dziewczyno, pieluszkę mi podaj! Rozłożoną! Biegnij po nożyczki do kuchni! Na pieluszkę je wyjmij, ręką nie dotykaj!

Pobiegła więc Agnieszka do kuchni. Antek z małym Jasiem siedzieli tam zgodnie przy kuchennym stołku. Antek rysował małemu na jakichś kartkach ze starego zeszytu swoje ukochane samochody i samoloty. Jasio, pogadując coś wesoło, oglądał obrazki, a potem gniótł je w garści, rzucał na podłogę i domagał się nowych. Nie zwrócili na nią większej uwagi.

Piec kuchenny buchał jednak żarem, ogrzewając za pomocą skomplikowanego systemu rurek i kaloryferów całe mieszkanie. Znaczyło to, że Antek mimo zabawy pamiętał o swych obowiązkach palacza.

Agnieszka ostrożnie odlewała gotującą wodę z garnuszka i wydobywała z niego nożyczki i białe tasiemki.

Więc to było tak? Tak wyglądała ta największa w świecie tajemnica? Pamiętała przecież, jak mama chodziła z dużym brzuchem, jak zniknęła któreś nocy z domu, a po kilku dniach wróciła ze szpitala z małym, śmiesznym, nieporadnym braciszkiem. Z tego małego berbecia, tłustego, różowiotkiego, który płakał po nocach i ciągle domagał się jakichś rumianków, soczków, przewijania i innych obrządków, wyrósł pomału taki brat, jakiego ma. Przemądrzały, czasem trochę rozkapryszony, ale najlepszy, najwierniejszy, najbliższy towarzysz wszystkich domowych poczynań.

Lecz sam jego początek odbył się gdzieś za czerwonym murem szpitala i wydawał się tak odgradzony od niej, że nigdy nie zastanawiała się nad nim dokładnie. Tak jak nie zastanawia się człowiek, skąd ma wodę w kranie albo obraz w telewizorze — myślała, niosąc potrzebne rzeczy do pokoju.

Usłyszała niegłośny okrzyk młodej, ale nie był to krzyk ani rozpacz, ani strachu, ani wielkiego wysilenia. Położna, pochylona nad łóżkiem, podtrzymywała dłonią małe dziecko, czarnowłosą główkę, która właśnie wydostała się z brzucha matki. Delikatnymi ruchami dłoni przekręciła główkę w bok.

Teraz za główką ukazało się ramię. Jeszcze jeden moment i urodzone dziecko leżało między nogami kobiety.

Mały, skurczony, czerwonoskóry krasnal z zafrasowaną miną staruszka.

Z samego środka brzucha wyrastała brunatna łodyżka, którą, jak owoc gałęzią, przyczepiony był do matki.

Noworodek poruszył rączkami, otworzył buzię i zakrzyczał.

— No i witaj na tym świecie! — wyrzekła położna głosem pełnym radosnej powagi.

„Jeśli popatrzysz do wnętrza białego strąka młodziutkiej fasoli, jeśli otworzysz młodą kulkę kasztana, w której tkwi niedojrzały jeszcze owoc — niezbrązowiały, z łatkami bieli, jeśli zajrzysz do pąka makowego kwiatu, co nie zdążył jeszcze rozwinąć się sam, i zobaczysz jego stulone ciasno, pokurczone na razie płatki, które nie miały czasu wyprostować się i rozprężyć...

Jeśli pomnożysz to, co wtedy czujesz przez tysiąc i stokroć tysięcy — możesz sobie wyobrazić to, co ja czuję teraz”.

Tak myślała Agnieszka, przyglądając się w cichym podziwieniu.

— Cóрка? — odezwała się młoda kobieta z nadzieją w głosie.

— Córkę masz, Joaśka! Piękną zdrową jak orzech! — odrzekła położna i uniosła dziecko na rękach w górę, aby matka mogła je zobaczyć.

Dała też Agnieszce znak, i ta pochyliła się nad Joaśką, aby kawałkiem chłodnej waty zetrzeć strugi potu z jej czoła.

Kobieta uśmiechnęła się radośnie.

— To dobrze, że córka — powiedziała — to dobrze.

Agnieszka widziała nieraz w telewizji twarze zawodników, którzy wyprzedziwszy groźnych rywali, pierwsi wpadli na metę. I takich, którym udało się skoczyć najwyżej albo

Narodziny

najdalej ze wszystkich. Widziała uczonych, którzy opowiadali o swym nadzwyczajnym odkryciu... Żeglarza, który zwycięsko przepłynął przez wszystkie morza w samotnej łódce...

Ale takiej twarzy, tak pełnej szczęścia, tak radosnej, promiennej — nie widziała jeszcze nigdy.

Sama zresztą także czuła w środku wielką i spokojną radość, która grzała jak elektryczna poduszka.

— Zuch z ciebie, Joaśka! — powiedziała położna. — Żeby wszystkie tak rodziły! Podaj teraz nożyczki — wyciągnęła rękę do Agi.

Ujęła nożyczki i jednym zręcznym ciachnięciem odcięła lodyżkę sterczącą z brzucha dziecka.

To, co zostawiła przy brzuszku, obwiązała mocno tasiemką i obmalowała fioletową plamą z gencjany.

— Gazę podaj — zażądała od Agi.

Założyła dziecku opatrunek na pępek, a ono znowu zapłakało, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Nie podoba ci się na tym świecie? — zagadnęła położna. — Ale i tak już wrócisz z powrotem, skądś przyszła!

Przeniosła dziecko na stół i zręcznie poowijała w pieluszki i kocyk, przygotowane tutaj przez Agę.

— Teraz jej popilnuj — powiedziała — patrz cały czas na nią. Później ją wykąpiemy, a teraz jeszcze matką muszę się zająć.

Śnieg za oknem zdążył już zszarzeć, zmatowieć i przestały strzelać z niego słoneczne błyski.

Położna z pomocą Agnieszki kończyły robić porządki wokół matki i jej nowiuteńkiej córki, kiedy jakiś cień przemknął za oknem, łomotnęły jedne i drugie drzwi. Do izby wskoczył młody mężczyzna w kożuchu, chwytając w biegu na ręce drepczącego za nim Jasia.

— Co się dzieje?! Joaśka! To... już?

— Widzi pan, panie Waldku, jak to nie trzeba kobiety samej w domu zostawiać? Wracasz, a tu już masz dwie baby zamiast jednej — dużą i małą, a do tego gości chmara! Córkę masz, gospodarzu! Wszystkim tu obecnym dziękuj, że szczęśliwie na świat przybyła! Kożuch zrzucaj, przebierz się czysto i umyj, a pozwolimy ci podejść do nich.

Potem wyciągnęła Agnieszkę do kuchni.

— Zostaw ich, niech się sobą nacieszą! — i zaczęła szykować się do wyjścia.

— Pani już idzie? To i my też z panią! — zawołali Antek i Agnieszka z wielkim i nagłym pośpiechem.

— Ja muszę jeszcze dla tego dziecka lekarstwo do oczu i inne tam rzeczy przywieźć! Pójdę i wrócę! A wam dokąd tak spieszo? Zostańcie tu na noc, gospodarze chętnie was ugoszczą!

Ale oni nic sobie nie robili z namów i zaproszeń. Na próżno rozradowany gospodarz proponował im nocleg w małej, mrocznej alkowie, wypełnionej prawie po brzegi niebotyczną pierzyną.

Wybiegli oboje na chrupiący, szklisty śnieg. Musieli pójść! Musieli wracać i bardzo się spieszyć.

Położna już stała przed domem i ze zdumieniem zobaczyli, że przypina sobie do nóg narty.

— Pani to chyba wszystko na świecie umie! — powiedział Antek w najwyższym podziwieniu.

— A gdzie tam wszystko! — zaśmiała się — tyle, co życie nauczyło. Ale dzisiaj tom się naprawdę dobrze spisała, a wy też razem ze mną. Oni to jeszcze u nas nowi, miastowi! — pokazała ręką na chatę. — Weterynarz on jest, a ona w szkole uczyć będzie — powiedziała.

— No, bywajcie, dzieciaki! Ja tutaj zjeżdżam w dolinę, a wam pewnie w drugą stronę, do szosy trzeba!

Odepchnęła się kijkami i pojechała szybko w dół. A oni podreptali tą samą ścieżką, którą przyszli tu rano.

Nie było teraz żadnego śladu słońca. Wisiały im nad głowami ciężkie, zawiesziste chmury, z których zaczynał sączyć się śnieg, najpierw drobny, a potem coraz obfitszy, mokry, lepiący.

Ale oni szli, nie zważając na to wcale. Szli przez ogromne, puste, śnieżne pole. Szli, bo zamiast tych dwóch pochylonych czule ku sobie twarzy, które pozostawili za sobą w jasnej izdebce, przed sobą widzieli dwie inne, stokroć bardziej im znajome i droższe. I do nich właśnie natychmiast, zaraz, jak najszybciej musieli dojść.

Wiatr zrywał się coraz silniejszy i sroższy, i tak ich popędzał, że ledwie nadążali stawiać kroki. Śnieżna kurzawa zataczała wokół nich koła, owijając ich coraz gęściej i gęściej.

W tym wielkim pędzie coraz lżej dotykali stopami ziemi, aż wreszcie wiatr podbił im nogi, uniósł w górę na tumanie śniegu. I poczuli, że lecą, wznoszą się, płyną miękko wśród śniegu, jakby rzeczywiście mieli u ramion wymyślone, Antkowe fruwadła.

Śnieg i wiatr kołysał ich, okręcał i niósł, niósł, niósł. Widzieli wokół siebie tylko białe mokre drobinki i nic więcej.

Wreszcie opadli na ziemię i poczuli pod nogami twarde chodniki. Przed nimi zabłysło w dole światło, pojawiły się prowadzące w dół stopnie. Bez słowa zbiegli po nich. I znaleźli się w podziemnym przejściu. Tym samym, przez które przeszli, rozpoczynając swoją wędrówkę.

Wydostali się z przeciwnej strony i ruszyli naprzód, znów przez wiatr i siekący śnieg, ocierając co jakiś czas oczy rękawami kurtek, aby widzieć chociaż trochę przed sobą.

ROZDZIAŁ VIII

I śnieżna ściana rozstała się nagle. I zobaczyli w półmroku swoją własną, rodzoną, niesfalszowaną ulicę Polną. Niezbyt stare, ale i nie za nowe bloki, rozdeptany śnieg na chodnikach i placyk zabaw z oberwaną huśtawką.

Ruszyli w stronę swojego bloku na przełaj, przez trawniki, rozpryskując błoto i śnieg.

W znajomym oknie na pierwszym piętrze zasłona była odgarnięta i jaśniała przytulona do szyby twarz mamy. Jak zawsze, wyglądała na dwór, czy dzieci nie nadchodzą. A gdy ich zobaczyła, uśmiechnęła się i spokojnie odeszła od okna.

Uchylone drzwi ich własnej klatki schodowej poskrzypywały i postukiwały na wietrze.

Puścili się pędem do tych drzwi i wbiegli na pierwsze piętro, skacząc po trzy schody.

Antek pierwszy dopadł do dzwonka i zadzwonił jak na alarm.

Za drzwiami rozległo się niespieszne szuranie kapci i wkrótce otworzył im tata.

Ale nikt nie chwycił ich w objęcia, jak cudownie ocalonych. Nikt nie wylewał łez na powitanie.

Na twarzy mamy nie było widać żadnych śladów smutku ani niepokoju. Tata też nie wyglądał na specjalnie zdenerwowanego.

— Piekarnia? Bułki się palą czy co? — zagderał dobrotliwie.

— Jesteśmy! — zawołali oboje bez tchu.

Mama zarumieniona i uśmiechnięta wychylała się z kuchni.

— No, dobrze, że już jesteście. Trzeba się myć i przebierać. Zaraz przychodzą dziadkowie i ciocia. A myśmy tu już wszystko spokojnie bez was powykańczali.

— To jeszcze nie było wigilii? — krzyknął Antek.

— Nie, dopiero dochodzi piąta. A co, przestraszyłeś się, że nie zdążysz? Nie bój się, bez was byśmy nie zaczęli!

— Mamo! — nalegał Antek. — Wy wcale nie baliście się o nas? Wiedzieliście, gdzie myśmy byli?

— No, poszliście przecież po migdały i tyle... A gdzie dokładnie, to już nie mam pojęcia... A macie te migdały, mówiąc nawiasem? Przydałoby się je jeszcze sparzyć i obrać!

Agnieszka bez słowa sięgnęła do kurtki i podała mamie migdały.

— Bo przecież... — zaczął Antek, ale zamilkł, napotkawszy wymowne spojrzenie siostry.

— Czy wyście czasem nie dostali przedświątecznej gorączki? Wyglądacie, jakbyście właśnie wrócili z zaświatów! — zakpił sobie tata.

— No, już im nie dokuczaj. Dzieci zawsze są podniecone przed świętami. Zapomniałeś już, jak ty kiedyś czekałeś na gwiazdkę? Do mycia, dzieci, do mycia. Tobie, Antosiu, przyszykowałam ubranie u Agi w pokoju, a do dużego na razie nie wchodźcie.

— Słuchaj, rozumiesz coś z tego? — szarpał Antek siostrę za rękę.

— Ja nie rozumiem, ale oni na pewno tym bardziej nic nie pojmą. Dlatego lepiej nawet nie zaczynać im tłumaczyć. Po prostu jesteśmy i tyle. Święta-prezenta i nic się nie zdarzyło. Myj się pierwszy.

— Ty pierwsza.

— Właśnie, że ty.

— Bo ty się guzdrzesz.

— O! — powiedział tata. — Dzieci wracają do życia. Pokłóciły się. Już nie są takie uduchowione.

— Mądry — głupiemu! — zawołała Agnieszka. Złapała świąteczny strój i zabarykadowała się w łazience. Spojrzała na zegarek. Była piąta, 24 grudnia.

„Więc to wszystko było nie naprawdę? — medytowała, myjąc się i wycierając. — Zbiorowe, a raczej dwuosobowe urojenie? Czarująca staruszka, pan Ptasznik z nogą w gipsie, gadająca papuga i wspaniała położna Stasińska i to dziecko, co się urodziło? Wszystko jedno! — postanowiła. — Nigdy tego nie zapomnę i tak!”

— Już kończę, nie dobijaj się! — krzyknęła w stronę drzwi, które dudniły niecierpliwym werblem.

Antek stał w drzwiach, cały już przejęty nową sytuacją.

— Leżą, leżą pod choinką, widziałem! Zapuściłem tam teleskop!

— Kto? — zdziwiła się Agnieszka, znów wyrwana z zamyślenia.

— Prezenty! Prezenty przez wielkie P! P! — Pięciopiętrowe, rozumiesz? — wypchnął ją z łazienki i gorączkowo zaczął zdzierać z siebie sweter i koszulę.

Wzruszyła więc ramionami i poszła do kuchni pomagać mamie.

Kończyła właśnie rozkładać grzybowe uszka na talerzach, gdy brzęknął dzwonek. Nadeszli dziadkowie i ciocia Marysia. Wszyscy po kolei wkraczali uroczyście do dużego pokoju, gdzie już czekał nakryty stół, a pod choinką, rozpierającą się w kącie, leżała stertka zakokardowanych paczek.

Babcia dyskretnie zasłoniła dziadka. Dziadek dyskretnie opuścił coś pod choinkę. Aga i Antek dyskretnie przykneśli oczy, bo nie wypadało im nic widzieć.

Wszystko było zwykle, tą świąteczną, niezwykłą zwykłością, którą znali wyśmienicie. Aga wciągnęła głęboko w nos znajomy, doroczny świąteczny zapach, jedyny i zawsze taki sam.

Wkroczył tata w swoim ulubionym garniturze w kratkę. Za nim wśliznęła się mama, w ulubionej sukience taty. To znaczy, była to oczywiście sukienka mamy, ale ulubiona przez tatę.

— O, jak dobrze, że włożyłaś tę sukienkę — wygłosił tata swoje sakramentalne zdanie. A po nim następne, skierowane do dzieci, które brzmiało jak zawsze:

— A wiecie, dlaczego tak lubię tę sukienkę?

— Bo mama ją miała na sobie na waszej pierwszej randce! — wyrecytowały dzieci chórem.

Agnieszka zerknęła na mamę, a mama mrugnęła do niej i zasłoniła usta palcem.

Tylko one dwie znały sekret jej sukienki. Była to bowiem już trzecia z kolei sukienka z tego samego materiału. Ta pierwsza — kiedy już! — podarła się, a mówiąc szczerze, dawno byłaby na mamę za ciasna. Ponieważ jednak tata tak ją lubił, mama kupowała co jakiś czas niebieski materiał i cichaczem szyla sobie nową. Ale to były takie ich babskie szachrajstwa i co komu do tego?

Odmrugnęła tylko mamie i obie wzięły się za roznoszenie talerzy. Wszyscy złożyli sobie życzenia, zasiedli do stołu i zanurzyli łyżki w barszczu. Ciocia Marychna przełknęła gwałtownie uszko i wpatrywała się skupionym, natężonym wzrokiem w przeciwległą ścianę.

— Czy przesadzaliście paprotkę? — zapytała nagle nie swoim głosem.

— Nie, skądże! — powiedziała mama. — Ciągle nie mogę się do niej zabrać.

Strój, Kobieta, Mężczyzna

— Ale przecież widzę, że jest inna doniczka — upierała się ciocia Marychna. — Była taka z ciemnym szlaczkiem, a teraz jest gładka.

— Bo myśmy ją właśnie z Antkiem przesadzili — przyznała się Agnieszka.

— A co wam strzeliło do głowy?

— W ramach przedświątecznych porządków, byliśmy zmuszeni — powiedział dyplomatycznie Antek. — Bo...

— Spadła! — krzyknęła ciocia, zrywając się z krzesła.

— No.

— Właśnie dzisiaj?

— No.

— Nie denerwuj się, Marysiu, przecież widzisz, że nic się nie stało! Dali sobie radę, paprotka rośnie w najlepsze, jak dawniej.

— Nie, nie o to chodzi! — przerwała jej gwałtownie ciocia. — A czy jak się rozbila, to nic z niej nie wypadło?

Antek potargał sobie w zamyśleniu świąteczną czuprynę.

— No pewnie! Rzeczywiście. Taki mały kluczyk od nie wiadomo czego. Dziwny jakiś. On był twój? Zaraz ci go przyniosę! Mam go w starych spodniach. Cały czas go nosiłem przy sobie w kieszeni, bo zapomniałem.

Antek odsunął krzesło i wśliznął się do swego kąta za szafę. Po chwili wrócił, trzymając w ręku kluczyk. Małeńki przedmiot wytarł się w kieszeni, wypolerował. Przedtem matowy i niepozorny, świecił teraz delikatnym, srebrzystym blaskiem, jak choinkowa ozdoba.

— Nie wiedzieliśmy, skąd się tam wziął. A ty wiesz?

— Cały czas miałeś go w kieszeni? — zakrzyknęła ciocia.

— No, jak mówiłem. Cały czas, kiedy chodziliśmy po migdały.

— I nie mieliście żadnych przygód? Nic wam się nie przydarzyło? — dopytywała ciocia Marysia nerwowo.

— A czy ja mówię, że nie mieliśmy? Pewnie, że się nam wydarzyło! — odparł Antek i spojrzał triumfalnie na siostrę, bo myśli skaczące po jego bystrej głowie zaczęły nagle wiązać się ze sobą i układać w jakieś sensowne kształty i figury.

Babcia zadzwoniła widelcem w talerz.

— Dzieci! — oświadczyła. — I ciebie też to dotyczy, Marysiu! Skończcie już te sekrety albo odłóżcie na potem. One całkiem nie pasują do świątecznego nastroju. Przy świątecznym stole powinno być bezpiecznie, serdecznie, zwyczajnie i swojsko... Te swoje kluczyki odkluczajcie sobie przy innej okazji, a teraz mamy ważne sprawy rodzinne, które nie mogą się opóźnić.

I popatrzyła z naciskiem na piętrzący się pod drzewkiem stosik prezentów.

Wtedy trzy spojrzenia spotkały się w powietrzu i porozumiały nad samym środkiem białego obrusa.

Antek jeszcze raz wziął kluczyk w palce i ostrożnie powiesił go na choince. Wyglądał on w tym miejscu bardzo dekoracyjnie.

Agnieszka także podniosła się z krzesła i oboje zaczęli zbierać ze stołu talerze, z których zniknął już wigilijny barszcz.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/papuzinska-wedrowcy>

Tekst opracowany na podstawie: Joanna Papuzińska, *Wędrowcy*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1988.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-6041-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.